

PAMIĘTNIKI

Stanisława Jana Czarnowskiego
WSPOMNIENIA z TRZECH STULECI
XVIII, XIX i XX.



TOM IV

obejmujący
zeszyty 19—24

CENA zł. 3. ✓

.....

WARSZAWA
SKŁAD GŁÓWNY
w DOMU
KSIĄŻKI POLSKIEJ
Plac Trzech Krzyży
№ 8.
1928 r.

Roznosicielka wody.

<http://rcin.org.pl>

PAMIĘTNIKI

Stanisława Jana Czarnowskiego

WSPOMNIENIA z TRZECH STULECI

XVIII, XIX i XX.



Roznosicielka wody.

Konstantynopol.

Polacy
na Wschodzie.

Handel
dziewczętami.

.....

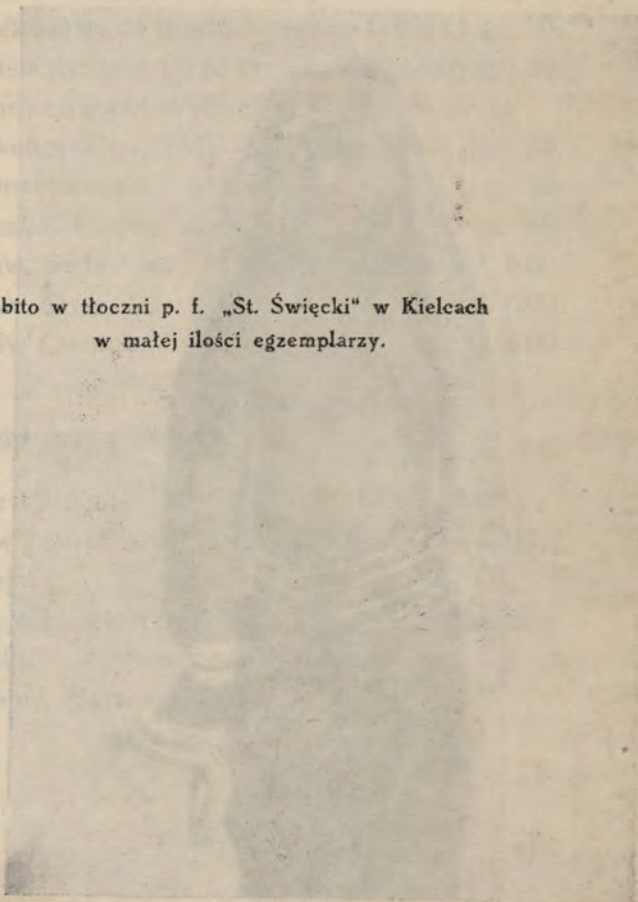
WARSZAWA
SKŁAD GŁÓWNY
w KSIĘGARNI
GEBETHNERA ...
..... i WOLFFA
1928 r.

PAMIĘTNIKI

Stanisława Jana Czarnowskiego
WSPOMNIENIA Z TRZECH STULECI

XVIII, XIX i XX

Odbito w łocznii p. f. „St. Święcki” w Kielcach
w małej ilości egzemplarzy.



Konstantynopol.

Polacy na Wschodzie. — Handel dziewczętami.

W pobliżu pałacu Municypalności Pery, górnego Dworca kolei i naszego magazynu zbudowano przed rokiem nowy ładny dom dwupiętrowy, przy ulicy Jeszil Jaszmak, wpośród gaju starych cyprysów. Dom był narożny z frontem na sposób angielski o trzech oknach słonecznych, wychodzących wprost na południe, okna boczne były od strony zachodniej. W jesieni 1887 roku wykończony zupełnie i świeżo pomalowany, dach miał do połowy tylko pokryty blachą; druga połowa stanowiła obszerny terras, otoczony balustradą kamienną, jak zwykle na Wschodzie i w krajach południowych.

Przy wolnym czasie w niedzielę, 20 listopada 1887 roku przed południem, poszedłem obejrzeć nowe lokale w owym domu. Gospodarz grek mieszkał tam na parterze, i zaraz wzięwszy klucze poszedł ze mną na górę, po schodach z białego marmuru. Na każdym piętrze było jedno tylko małe mieszkanie, złożone z dwóch pokoi z kuchnią i spiżarnią. Do mieszkania na II-em piętrze należał terras z osobnem wejściem przez małe drzwi zamykane na klucz. Z terrasu rozciągał się rozległy widok na gaje cyprysów, port wewnętrzny Złotego Rogu, na górny Dworzec kolei Tunelu, ulicę Kumbaradzi z linią tramwajową i ulicę Bujuk-Hendek, przy której mieszkałem dotychczas.

Mieszkanie na II-em piętrze z terrasem było nieumeblowane i tańsze; więc je zaraz nająłem. Dałem gospodarzowi zadatek i dostałem dwa klucze od zatrasku. Zeszliśmy na dół. Gospodarz w swoim gabinecie napisał mi pokwitowanie z zaznaczeniem, że komorne mam płacić co miesiąc, poczynając od nowego roku 1888. Naprzeciwko gospodarza na parterze, w małym pokoiku z kuchenką, mieszkał stróż domu z żoną. Zgodziłem się z nim zaraz o usługę i pomoc w przeprowadzce. Gospodarz dał mi także klucz od głównych drzwi dolnych, żelaznych z grubej blachy, zamykanych na zatrask amerykański z szeroką zasuwą. Żegnając się, oznajmiłem, że zacznę się wprowadzić powoli za tydzień.

Po obiedzie zaraz poszedłem z Ma pokazać jej nowonajęte mieszkanie. Było czystutkie, świeżo malowane. Pierwszy pokój jadalny różowo, drugi za nim sypialny niebiesko. Stał w nim piecyk żelazny, gruby niski z fajerką do grzania wody.

Z pierwszego pokoju było wejście do kuchenki z angielskim ogrzewaczem o kilku fajerkach, zlew i wodociąg dający obficie wodę czystą źródlaną. Wszystkie okna podwójne pootwierane przez cały dzień, zamknęliśmy odchodząc. Słonecznie tam było i jasno. Ma cieszyła się, że jej ulubione kwiaty prosperować będą na oknach słonecznych. Wychodząc zamknąłem drzwi na zatrask jednym kluczykiem, a drugi dałem Ma do jej użytku. Poszliśmy zaraz potem do pobliskiego Ogrodu miejskiego na koncert popołudniowy. Wieczorem po przechadzce przez Wielką ulicę Pery, wróciliśmy wcześniej do domu na kolację, naradzać się nad przeprowadzką.

Nasz woźny magazynu Hamparzum miał znajomego tragarza armeńczyka Artina, którego żonie dawał swoją bieliznę do prania. Zamówiłem tych ludzi do pomocy w mojej przeprowadzce. W następną niedzielę najprzód w tanim zakładzie mebli gotowych, kupiłem mały stół jadalny z szufladą na sztuce i kilka krzeseł wyplatanych. Hamparzum z tragarzem Artinem zanieśli je za mną zaraz na nowe mieszkanie i ustawili w pokoju jadalnym. Potem w pakach, przyniesionych z naszego magazynu, na wózku ręcznym Artina przewieziono mi ze starego mieszkania wszystkie książki, gazety i skrypta, bieliznę, suknie, naczynia kuchenne, drzewo drobno rąbane, zapas węgla, a na ostatku pościel, dywany, moje biurko, lampy, różne drobiazgi i kwiaty doniczkowe. Ma przyjmowała wszystko i pilnowała na nowem mieszkaniu. Po południu przeprowadzka była ukończona.

Na obiad poszliśmy do restauracji w pobliskim ogrodzie miejskim i zostaliśmy na całym koncercie popołudniowym. W klombie między kwiatami obok nas mały czarny kotek uganiał się za motylami usiłując je łapać. Zawołałem go, przybiegł zaraz, wskoczył mi na kolana i dostał kawałek mięsa. Ma wzięła go ode mnie, ugiaskała, pomruczał i zasnął spokojnie. Zapytałam kelnera czyj to kotek. Powiedział, że przybłąkał się wczoraj niewiadomo skąd; może go kto nie chciał trzymać i puścił go do ogrodu. Ma lubiła koty, więc wracając do domu wzięliśmy znajdę do siebie. Dostał zaraz mleka na spodku, obszedł kocim zwyczajem wszystkie kąty i położył się spać na dywanie.

Wieczorem wzięliśmy się pomału do uporządkowania rzeczy. Przedewszystkiem w pokoju sypialnym wpośrodku rozłożyłem duży gruby dywan. Pościel ułożyłem na sposób turecki na podłodze, przy ścianie wewnętrznej, naprzeciwko okien. Pod ścianą boczną ustawiłem moje biurko z półkami, książki i słowniki podręczne. W szufladach zamykanych umieściłem ważniejsze rękopisma i papiery. W kącie obok w dużej skrzyni drewnianej przykrytej wiekiem resztę książek, czasopism i inne materiały literackie. Do lampy stołowej z daszkiem zielonym nalałem nafty i zaświeconą postawiłem na biurku. Drugą lampę

z szerokim daszkiem białym zawiesiłem na haku u sufitu nad stołem w pokoju jadalnym.

W piecyku żelaznym w sypialni napaliłem na próbę drzewem suchem. Paliło się doskonale. Więc zaraz na fajerce ustawiłem bułoar emaljowany z wodą, która wkrótce zawrzała, Ma naparzyła herbatę w dużym czajniku porcelanowym. W pokoju jadalnym zaświeciła lampę wiszącą, stół nakryła dużą białą czeratą, ustawiła naczynia do kolacji, pieczywo, wędliny i owoce zakupione w mieście po drodze. Kotek na swoim własnym spodku dostał porcję i poszedł spać w kącie. Po kolacji Ma postawiła na oknach swoje kwiaty. Nad oknami na hakach pozawieszała zasłony zielone od słońca, Między oknami umieściła swoje zwierciadło z półeczką na przybory toaletowe.

Dla wypoczynku poszliśmy na terras nad naszym mieszkaniem. Tam przy ścianie szczytowej na ławce z oparciem wygiętem zasiedliśmy wygodnie. Po dniu gorącym i wietrze całodziennym, jak zwykle nad Bosforem w jesieni, po zachodzie słońca zaległa w powietrzu cisza i miły spokój. Wokoło nas drzemały stare gaje cyprysów, i miasto z tysiącami świateł nocnych, niknących daleko za mgłą horyzontów morskich. Na szafirowem niebie pogodnym błyszczą jasno gwiazdy...

Nazajutrz rano stary bólgar, nasz mleczarz, pouczony przymownie zawczasu o zmianie mieszkania, przyniósł nam wyborne mleko, a stróżka świeże pieczywo z pobliskiego sklepu. Ma zaraz kazała jej pomyć naczynia w kuchni przy wodociągu i uprzątnąć mieszkanie. O godzinie 8-mej jak zwykle byłem już w magazynie, gdzie z nowego mieszkania miałem o połowę drogi bliżej chodzić.

Pan Kleiner, mój dawny gospodarz domu przy ulicy Bujuk-Hendek, otrzymał jako majster stolarz od Dyrekcji kolei małoazjatyckiej wielkie obstalunki na roboty stolarskie do dworców kolejowych. Wskutek tego odstąpił dzierżawę domu, który wynajmował lokatorom, i przeniósł się z warsztatami swojemi na główną stację kolei Hajdar-Pasza pod Skutari na azjatycki brzeg Bosforu.

Przez całą jesień pogodną i ciepłą co niedziela jak zwykle robiłem z Ma, wycieczki bliższe i dalsze — na bulwary nadmorskie sultańskiego pałacu Dolmabagcze, to do ogrodów Eski-Seraju i do muzeum starożytności Czinili-Kiosku, gdzie ciągle przybywały nowe wykopaliska i zabytki sztuki, to do meczetu Aja Sofja lub do wielkiego bazaru Bujuk-Czarszi w Stambule i tp.

Przechodząc przez Galatę przed południem jednej niedzieli w pobliżu komory celnej Mum-Hane, wstąpiliśmy podczas nabożeństwa do jednego z większych kościołów greckich św. Georgja. Długi i szeroki przedsionek tej świątyni łączył dwie uliczki między którymi stoi nawa główna. Wnętrze jej było przepelnione, więc w przedsionku pod ścianą zewnętrzną na szerokiej ławie spoczęliśmy dłużej. U sklepienia wisiał tam

piękny żyrandol w kształcie małego okrętu o trzech masztach metalowych, z rejami i linkami z drutu mosiężnego, na których nawleczono mnóstwo paciurów z kryształu rzuńtego kanciasto. Światło lampek palących się między nimi mieniło się w tęczowych odblaskach. Kościelny objaśnił mi, że to był dar dziękczynny kupca bogatego, którego okręt ocalał podczas wielkiej burzy morskiej i przybił szczęśliwie do tutejszego portu. Pod ścianą wewnętrzną przedsionka między trzema wejściami do świątyni, na dużych krzesłach siedziało trzech popów w bogatych czapach złocistych. Na trzech stolikach przed nimi leżały duże tace z pieniędzmi składanymi w ofierze przez pobożnych. Przy stoliku środkowym składano tylko złote monety za ucałowanie Ewangelji w bogatej oprawie złotej z relikwiami Krzyża świętego, które pop podawał przyklękającym przechodniom. Na stoliku po prawej stronie składano same monety srebrne za ucałowanie grubego krzyża srebrnego, z relikwiami jakiegoś wielkiego świętego. Zaś na trzecim stoliku dawano do pocałowania mały krzyż mosiężny z relikwiami innego świętego pomniejszego, za co płacono tylko drobne zdawkowe miedziaki. W ten sposób każdy ofiarodawca był obsłużony odpowiednio za swoje trzy grosze...

Napatrzywszy się tym pobożnym praktykom obrządku wschodnio-greckiego, wstąpiliśmy jeszcze do pobliskiego kościoła armeńskiego. Tu już kończyło się nabożeństwo i było dość miejsca w ławkach, więc usiedliśmy zaraz przy wejściu głównym, aby nikomu nie przeszkadzać. Przed wielkim ołtarzem na wzniesieniu drewnianem szerokim, jakby na estradzie koncertowej trzech duchownych odzianych w bardzo szerokie kapy złociste haftowane jaskrawo, intonowało po armeńsku jakiś hymn bardzo krzykliwie. Przytem wszyscy trzej poruszali się ciągle jakby w balansach tanecznych, trzymając w rękę duże księgi oprawne złocisto. Machali nimi szybko w różne strony, gestykulując gwałtownie do taktu. Być może wskutek wielkiej ostrości dźwięków języka armeńskiego cały ten śpiew robił wrażenie jakby głośniego piania kilku kogutów razem. Wkrótce po ukończeniu tego dziwnego nabożeństwa wszyscy trzej księża wrócili do zakrystji, a pobożni zaczęli się rozchodzić. I my, wyszliśmy także, przypominając sobie równie hałaśliwe nabożeństwa włoskie w Nicei, z rozgłośnem częstem dzwonieniem przed ołtarzami, z muzyką całkiem teatralną na chórze kościelnym i t. p. Natomiast w wielkich meczetach mahometańskich, które zwiedzaliśmy w niedzielę, panowała zwykle głucha cisza wpośród ścian nagich zupełnie. Tylko w klasztornych meczetach mnichów tureckich czyli derwiszów tańczących i t. zw. wyjących, walcowano przy muzyce dziwacznej do upadłego, lub ryczano wniebogłosy. Widocznie prawdziwie jest przysłowie, że co kraj to inny obyczaj...

Od ojca mego oprócz listów w ciągu całego roku i odpisów na moje, otrzymałem z Miechowa przed Świętami bożego narodzenia i na nadchodzący nowy rok 1888, obszernie pismo z wiadomościami o bracie moim Mieczysławie, siostrze Marji Pauli i o całej naszej rodzinie, z dołączeniem tradycyjnego opłatka wigilijnego. Tożsamo i Ma od swojej siostry i siostrzeniczek z Warszawy. Odpisaliśmy obszernie nawzajem. Ojciec tak jak dawniej mieszkał w swoim domu w oficynie w ogrodzie, a od frontu mieścił się urząd pocztowo-telegraficzny. Zdrowie brata pogorszyło się znacznie z powodu postępowego paraliżu mleczka paciierzowego, tak że z wielką trudnością mógł chodzić i zajmować się swoim gospodarstwem wiejskim w Siedliskach pod Miechowem. I pisać mu było coraz trudniej wskutek znacznego bezwładu rąk.

Nad Bosforem w tym czasie było jeszcze ciepło, pogodnie i słonecznie. To też korzystając z wolnego czasu świątecznego, robiłem z Ma jak zwykle co niedziela całodzienne wycieczki w różne strony miasta, za stare mury bizantyjskie Stambułu, na słoneczne wybrzeża morza Marmara za Eski-Serajem pod Kum-Kapu, Jedikule i t. p.

W pierwszych dniach stycznia nowego roku 1888, po dokładnem sprawdzeniu zapasów towaru w naszym magazynie, ksiąg inwentarza i innych, wysłałem do Dyrekcji głównej naszej fabryki w Warszawie bilans i sprawozdanie ogólne za cały rok ubiegły 1887, z dołączeniem zamówień dla uzupełnienia naszych zapasów towaru. Gotówkę zbywającą od wydatków bieżących składałem zawsze na rachunek przekazowy do Oddziału banku Crédit Lyonnais na Galacie, w obliczeniu na franki. Dyrekcja fabryki naszej do innych magazynów swoich w Petersburgu, Moskwie, Kijowie, Tyflisie i Odesie wysyłała corocznie inspektorów dla sprawdzania na miejscu inwentarza i bilansów rocznych. Do Konstantynopola nie wysyłała wobec tego, że moje bilanse miesięczne przedkładane były terminowo, a cała rachunkowość i księgi nasze prowadzone były ściśle według regulaminu.

Po nowym roku 1888 w połowie stycznia dopiero, jak zwykle na Bałkanach, nastąpiły większe chłody, przymrozki i pierwsze śniegi z przerwami większemi i mniejszemi — podówczas gdy u nas w Polsce bywają już największe mrozy. Magazyn nasz ogrzewaliśmy dużym piecykiem naftowym, z długą rurą blaszaną, założoną przed rokiem ponad oknem frontowym pod sufitem nieznacznie i wpuszczoną do powietrza kominowego. Od rury tej powietrze ogrzane roznosiło ciepło wszędzie. Turcy sklepy i mieszkania ogrzewają tak zwanemi mangalami, t. j. piecykami w kształcie dużej miski dziurkowanej z nóżką pod spodem i pokrywą ażurową z wierzchu, pod którą żarzą się węgle drzewne. Ale więcej stąd czadu jak ciepła.

Dnia 29 stycznia 1888 r. odbyło się w mieszkaniu prezesa Michałowskiego na Galacie zebranie członków

miejscowego Towarzystwa polskiego wzajemnej pomocy, na krórem przedstawione zostało sprawozdanie za rok ubiegły 1887. Rok ów przerzedził bardzo szereg emigracji polskiej wszędzie. Polska straciła wielu mężów zasłużonych, jak: J. J. Kraszewski, Ordon, Giller, Zyblikiewicz, i in. W Konstantynopolu zmarli: generał Langiewicz i Henryk Gropler. Towarzystwo polskie straciło skarbnika Jana Komadzińskiego wychodźcę z roku 1831, zmarłego 7 sierpnia 1887 roku. Członków czynnych w tym roku liczyło Towarzystwo 30, z tego zamieszkałych w Konstantynopolu 16, na prowincji 14. Dochody ze składek i darów wynosiły 5235 piastrow, wydatki 3798 p., pozostało w kasie na r. 1888 piastrow 1437. Wydatkowano dla członków 786 p., na zapomogi dla polaków przejeżdżających i innych 833 p., na obchód rocznicy 1831 r. 168 piastrow, rocznicy 1863 r. 168 p., na nabożeństwo żałobne za J. J. Kraszewskiego 140 p., na jego portret i upiększenie katafalku 153 p., na szafy do biblioteki 309 p., i t. d. W dalszym ciągu sprawozdania prezes Adam Michałowski zaznaczył:

„Z inicjatywy p. S. J. Czarnowskiego Towarzystwo utworzyło Bibliotekę, która posiada 116 dzieł w języku polskim, francuskim, angielskim i greckim w 155 tomach. P. Czarnowski pierwszy ofiarował na początek dzieł 39, A. Michałowski 19, dr. F. Czarkowski 14, hr. St de Rochetin 16, S. Winnicki 13, A. Dewodzki 3, i inni po parę tomów.

„Proszę pozwolić mi podziękować wobec wszystkich p. Czarnowskiemu, który prócz wyżej wymienionych dzieł ofiarował Mapę Polski drogocenną pamiątkę dla nas, oraz następujące dzienniki i czasopisma: Kurjer warszawski, Wędrowiec, Głos i Przegląd tygodniowy wychodzący w Warszawie, Czas wychodzący w Krakowie, Kraj w Petersburgu, Gazetę polską w Chicago i Journal des années wydawany w Konstantynopolu“.

„Przykład założenia i zaopatrzenia Biblioteki naszej przez wymienione wyżej osoby jest godzien naśladowania, nie tylko przez członków Towarzystwa i wychodźców polskich, lecz i przez rodaków zamieszkałych w Ojczyźnie naszej — i nie wątpię, że pisarze polscy po przeczytaniu tego sprawozdania zechcą przysłać dzieła swoje jako dar dla naszej biblioteki, za co bylibyśmy bardzo wdzięczni“.

Po odczytaniu powyższego sprawozdania nastąpiły wybory do zarządu Towarzystwa, do którego weszli ponownie jako prezes Adam Michałowski, wiceprezes Szymon Morawski, sekretarz Aleksander Dewodzki, podsekretarz Wiktor Zabłocki, jako skarbnik i bibliotekarz Józef Romer.

W lutym śnieg padał częściej i oziębilo się znacznie. W połowie lutego spadły duże śniegi i kilka dni leżały w mieście aż je uprzątnięto. Potem nastały dni cieplejsze, a w marcu już zaczęła się wiosna. <http://rcin.org.pl>

Kotek nasz bury znajda z Ogrodu miejskiego, żywny starannie przez całą zimę, wyrósł na ładnego koczura. Lubił grać się na słońcu na oknach między kwiatami. Chodził też z nami wieczorem na terras domowy, i znał drogę na dachy. Z nadejściem marca, usłyszał raz w nocy pomiaukiwanie kotki kokieteryjne i wrzaski kotów. Chciał gwałtem wyrwać się z domu na dwór przez okno. O mało szyb nie powybił. Musiałem go czempredzej wynieść na terras domowy. Pobiegł na dach i więcej już nie wrócił....

Wpóśród zwykłej korespondencji mojej otrzymałem z Petersburga list od redaktora tamtejszego tygodnika „Kraj“ z dnia 5 marca 1888 r. treści następującej:

„Szanowny panie! Dotychczas nie miałem sposobności postarania się o stałe wiadomości z Konstantynopola. Dziś udaję się z propozycją, czyby Pan nie zechciał zostać stałym korespondentem „Kraju“? Będę bardzo obowiązany jeśli Szanowny Pan nie odmówi nam swego cennego współpracownictwa — i pozostaję z poważaniem, szczerze oddany —

Er. Piltz.

Tygodnik „Kraj“, redagowany przez tego dawnego kolegę mego, że współadziałem profesora Włodzimierza Spasowicza, bardzo starannie i umiejętnie, rozpowszechniony szeroko w całej Polsce i za granicą — miał we wszystkich wielkich miastach polskich i stolicach świata licznych korespondentów, przeto chętnie wstąpiłem w ich szeregi i odpisałem niezwłocznie na zaproszenie uprzejme.

P. Erazm Piltz, dawny znajomy mój z Warszawy i kolega dziennikarz, był pierwszym założycielem „Nowin“, na które otrzymał koncesję z Głównego zarządu prasy w Petersburgu, podczas wojny bałkańskiej rusko-tureckiej 1878 r. wśród ożywionego ruchu dziennikarskiego. Zaraz po otrzymaniu tej koncesji zwierzył mi się z tem podczas obiadu w jednej z pierwszorzędných restauracyj warszawskich przy Placu teatralnym. Narazie zauważyłem, że ponieważ wszystkie codzienne gazety w Warszawie wychodzą wieczór, a są przeważnie konserwatywne i wsteczne, przeto „Nowiny“ należałoby wydawać rano i w kierunku postępowym, aby go silniej popierać. Tak się też stało. Początkowo tylko przez krótki czas „Nowiny“ wydawane były raz na tydzień w niedzielę rano, wobec tego, że dzienniki warszawskie ówczesne w niedziele wcale nie wychodziły. Później „Nowiny“ zamienione zostały na pismo codzienne pod redakcją Aleksandra Świętochowskiego.

Po przeniesieniu się do Petersburga na stałe redaktor Piltz założył tam znakomity tygodnik „Kraj“, przy pomocy Włodzimierza Spasowicza wielce wpływowego profesora prawa karnego na uniwersytecie petersburskim. Po wielkiej wojnie europejskiej i odrodzeniu Polski niepodległej redaktor Piltz był ambasadorem w Pradze <http://icm.org.pl> w Warszawie szefem

departamentu personalnego w Ministerstwie spraw zagranicznych, gdzie położył zasługi przez gruntowną jego reorganizację.

Redakcja „Kraju“ w Petersburgu mieściła się przy ulicy Nikolajewskiej № 6. Aby mieć zupełną swobodę, korespondencje moje podpisywałem pseudonimem *St. Janczar*, stanowiącym skrót moich dwóch imion Stanisław Jan i nazwiska. Wkrótce po otrzymaniu listu od redaktora wysłałem mu pierwszą moją korespondencję zatytułowaną „Z nad brzegów Bosforu“, która została pomieszczona w kwietniu w nrze 17 w objętości (wierszy 153.) Następne korespondencje w ciągu r. 1888 pomieścił „Kraj“ w nrze 20 pod napisem „Carogród“ (wierszy 65), w nrze 20 pod nap. „Jassy“ (w. 68), w nrze 22 p. n. „Konstantynopol“ (w. 84), w nrze 26 p. n. „Carogród“ (w. 96), w nrze 36 p. n. „Carogród“ (w. 63) — wszystkie w dziale „Zdaleka i zbliska“. Honorarjum otrzymywałem za pośrednictwem księgarni polskiej B. Rymowicza, a także egzemplarz bezpłatny „Kraju“, który po przeczytaniu oddawałem regularnie do czytelni Towarzystwa polskiego w Konstantynopolu.

Dn. 10 marca 1888 r. na zebraniu ogólnem członków pomienionego Towarzystwa i gości zaproszonych, w salonie prezesa Michałowskiego w Galacie, wygłosiłem odczyt dwugodzinny o dziejach literatury polskiej. W sprawozdaniu o działalności Towarzystwa polskiego za rok 1888, przedstawionem na dorocznem zebraniu członków Towarzystwa prezes wyraził mi podziękowanie za ów odczyt, zaznaczając, że „Prelegent z prawdziwym talentem zdołał w ciągu paru godzin zobrazować szczegółowo wszystkie epoki literatury polskiej od najdawniejszych czasów do lat dzisiejszych nie pomijając główniejszych pisarzy, poetów i historyków. Zebrani słuchacze nagrodzili trud prelegenta gromkimi oklaskami, wdzięczni za piękny odczyt, wobec tego, że poprzednio nie odbywały się nigdy w Konstantynopolu takie wieczory literackie“.

Dnia 16 sierpnia 1888 roku zmarł po długiej chorobie dr. Fortunat Czarkowski, wiceprezes Towarzystwa polskiego w tajemnej pomocy w Konstantynopolu, pochowany przy licznym udziale rodaków na cmentarzu katolickim na Ferikje.

Na głównym dworcu kolei podziemnej Tunelu, naprzeciwko naszego magazynu naczelnikiem stacji i ruchu był Adam Lenczewski, stary emigrant z 1848 r., podporucznik 1-go bataljonu piechoty legjonu polskiego podczas rewolucji na Węgrzech. Człowiek szczupły, posiwiaty, w kaszkiecie urzędowym ze złotym lampasem na głowie, wydawał głosem słabym i zdenerwowanym krótkie rozkazy służbowe. Widywałem go często, jak z wypiekami czerwonymi na twarzy, w przerwach między odjazdem a przybyciem pociągów na stację górna wychodził z gorącej dusznej atmosfery przed szeroką bramą dworca, aby odetchnąć świeżem powietrzem. Zawsze smutny, przynębiony miał wygląd człowieka chorego i przemęczonego służbą jednostajną bez wypoczynku. W lecie

podczas upalów i kurzawy ulicznej, służba ta była bardzo uciążliwa, zwłaszcza dla człowieka w podeszłym już wieku. W położeniu tak rozpaczliwym stary weteran wojskowy w nocy 16-go października 1888 roku odebrał sobie życie wystrzałem z rewolweru. Mieszkał sam ubogo w małym pokoiku. Żandarmi tureccy spisując protokół urzędowy znaleźli w mieszkaniu denata dwa listy. Jeden był napisany własnoręcznie przez nieboszczyka w języku polskim, zaadresowany do Adama Michałowskiego, gdzie nieboszczyk ofiaruje dla Towarzystwa polskiego cały swój księgozbiór, złożony ze 113 dzieł. Drugi list był napisany w języku włoskim do pana Sempriniego architekta, w jakim nieboszczyk wszystkie swe rzeczy mu zapisuje, a pieniądze jakie się znajdują prosi wydać na koszty pogrzebu. Wobec tego, że księża, jak zwykle w takich razach, nie chcieli się zająć pogrzebem samobójcy, Zarząd Towarzystwa polskiego wzajemnej pomocy urządził piękny pogrzeb cywilny bez księży. S. p. Adam Lenczewski pochowany został na wielkim cmentarzu katolickim na przedmieściu Ferikje., wobec licznie zgromadzonych rodaków i cudzoziemców. W trzy tygodnie potem staraniem prezesa T-wa polskiego postawiony został żelazny krzyż ze stosownym napisem na mogile ś. p. Adama Lenczewskiego, który walczył mężnie za wolność Węgier i Ojczyznę.

Za książki wysłane przeze mnie dla Czytelni polskiej w New-Yorku (nr. 161 E. 25 Street) otrzymałem od bibliotekarza teże list z dnia 1 grudnia 1888 r. z podziękowaniem, które tu przytaczam w całości jako bardzo serdeczne i charakterystyczne:

„Szanowny Panie! Książki ofiarowane dla Czytelni Nowo-Yorskiej doszły przeznaczonego celu. W imieniu p. Erazma Jerzmanowskiego mam zaszczyt wyrazić staropolskie „Bóg zapłać,, za wzruszający dowód jedności braterskiej, do jakiej poczuwasz się mimo oddalenia, jakie nas oddziela. Ofiara ze stron tak dalekich jest tem więcej godną uznania, że jest nową rękojmnią jedności i nierozdzielności narodu polskiego. Załączając wyrazy głębokiego poważania, kreślę się powolnym sługą — Ignacy Pawłowski, bibliotekarz“.

Według sprawozdania za rok 1888 Towarzystwo polskie wzajemnej pomocy w Konstantynopolu liczyło ogółem członków 34, z tego 16 w mieście, 18 na prowincji w większych miastach Azji mniejszej i Rumelji. Dochody Tow. wynosiły 6699 piastrow. Rozchody: na zapomogi dla członków 616 p., dla polaków zamiejscowych przejeżdżających 1642 p., na zakup 8 akcyj kolei żelaznych 1639 p.; po potrąceniu kosztów administracyjnych pozostało w kasie gotówką na rok następny 1889 piastrow 1239. Biblioteka Towarzystwa przez dar ś. p. Adama Lenczewskiego 113 dzieł znacznie się pomnożyła, dochodząc do 267 dzieł w 455 tomach w języku przeważnie polskim a także francuskim angielskim, greckim i niemieckim. Założenie tej biblioteki i czytelni było tem potrzebniejsze, że w księgarniach miejscowych

niema wcale książek polskich. Na zebraniu ogólnem dorocznem członków Towarzystwa polskiego prezes p. Michałowski w sprawozdaniu swem wyraził mi osobne podziękowanie w słowach:

„Pozwólcie mi Szanowni Rodacy podziękować oficjalnie wobec wszystkich tu przytomnych panu Stanisławowi Czarnowskiemu, który nie będąc formalnie członkiem Towarzystwa, ofiarował bezpłatnie przez cały rok bieżący 1888 polskie dzienniki literackie, polityczne, satyryczne i ilustrowane. Pan Cz. poświęcił swą pracę dla uporządkowania naszej Biblioteki, ułożenia jej katalogu, i nigdy nie odmawiał mi swej pomocy dla dobra naszego Towarzystwa“.

Na temże zebraniu ogólnem członków Towarzystwa polskiego wzajemnej Pomocy w dn. 20 stycznia 1889 r. zostali wybrani do zarządu na prezesa p. Adam Michałowski, na wiceprezesa p. Franciszek Radomski.

Oprócz zwykłej korespondencji w ciągu roku otrzymałem z Miechowa od ojca i brata przed nowym rokiem 1889 listy świąteczne z życzeniami i nowinami o domu i całej rodzinie naszej. Brat mój Mieczysław coraz bardziej zapadał na zdrowiu z powodu wzmagającego się paraliżu ogólnego, tak że coraz trudniej mógł chodzić o własnych siłach. Prowadził forsownie różnego rodzaju kuracje w domu, a także w Warszawie w Szpitalu św. Ducha u specjalistów, ale bezskutecznie. Wobec tego ojciec wzywał mię i prosił o powrót do domu, aby mu pomagać w gospodarstwie.

Wysyłając sprawozdanie noworoczne i bilans naszego magazynu do Zarządu głównego naszej fabryki w Warszawie, zawiadomiłem go o tem, że tylko przez rok bieżący 1889 będę mógł pozostać w Konstantynopolu, i prosiłem, aby zawczasu przygotowano odpowiednio mojego następcę.

W końcu stycznia 1889 r. nadeszła do Carogrodu wieść o samobójstwie następcy tronu austriackiego Rudolfa Habsburga w Mejerlingu pod Wiedniem. Wieść ta w stolicy nadbosforskiej wywarła wielkie wrażenie, a w kolonji austriackiej tamtejszej konsternację. Rudolf Habsburg, jedyny syn Franciszka Józefa urodzony w r. 1858, otrzymał staranne wychowanie, gorliwie zajmował się wojskowością oraz historją naturalną. Zapalony myśliwy, był bystrym obserwatorem i umiał świetnie kreślić obrazy z życia zwierzęcego. W r. 1880 został generał-majorem. W r. 1881 ożenił się z księżniczką Stefanją, córką króla belgijskiego Leopolda II. W r. 1882 mianowany feldmarszałkiem i wice-admirałem, został następnie komendantem 25 dywizji w Wiedniu. Napisał „Fünfeckn Tagen am Donau“ (wyd. w Wiedniu 1855 r.) „Eine Orientreise“ (wyd. w r. 1886) i brał udział w wydaniu wielkiego dzieła p. t. „Die Oesterreichisch-Ungarische Monarchu im Wort und Bild“ (wyd 1886 r.). W dn. 30 stycznia 1889 r. odebrał sobie życie z baronówną Veczera

w zamku Mejerling. Marja Veczera odznaczała się niezwykłą pięknnością. Jej giętka postać i biust wspaniały sprawiały że wyglądała ponad lat 18, jakie liczyła podówczas. Niezbyt wysoka była prześlicznej budowy ciała. Z poza ust czerwonych wyglądał rząd białych zębów. Nos nieco zadarty podnosił wyrazistość jej cudnej twarzy. Niezwykłe piękne oczy ciemnoniebieskie ocieniały brwi nieco kędzierzawe, zarysowane misternymi łukami. W ciemnych włosach nosiła wpięty nad czołem półksiężyc brylantowy. Harmonijna w ruchach, stąpała z wdziękiem kuszącym, władcym. Szczegóły krwawej tragedji Marjerlingu utrzymano długo w ścisłej tajemnicy urzędowej. Wskutek tego krążyły o niej długo wersje przeróżne, które z wolna wyjaśniały się. Dużo światła rzuciły tu pamiętniki hrabiny Larisch, wydane w Londynie p. t. „My Past”, w edycji wytwornej, z portretami bohaterów tragedji.

W Warszawie odbyły się zaślubiny córki jedynaczki naszego szefa p. Julljana Frageta Marji z księciem Czesławem Świątopelk-Mirskim. Książę Czesław urodził się w roku 1862 w majątku Woroniec na Podlasiu. Zajmował później różne urzędy obywatelskie i społeczne jako zasłużony działacz na tem polu. Pracował w zarządzie głównym naszej fabryki w Warszawie wspólnie z jej właścicielem a swym teściem, dla obznajmienia się z jej administracją. Od roku 1906 objął sam jej kierownictwo naczelne. Jako młody człowiek w sile wieku przyczynił się dzielnie do rozwoju tego wielkiego zakładu przemysłowego, a jako szef dbały o dobrobyt swych współpracowników zjednał sobie ich życzliwe uznanie.

W kwietniu 1889 roku do magazynu naszego przyszedł młody człowiek brunet lat około 25, powołując się na rekomendację prezesa Polskiego Towarzystwa dobroczynności p. Michałowskiego, przedstawił się jako Bronisław Borakowski, emigrant z Rosji. Objął, że z powodu brutalnego obchodzenia się oficera podczas mustry w Odessie zmuszony był zbiedz i schronić się w Konstantynopolu, że jest bez zajęcia, i prosił o wskazanie mu jakiej pracy lub posady. Narazie poleciłem mu udać się do kolonji polskiej w Adampolu, dla porozumienia się z tamiecznym wójtem p. Biskupskim o objęcie posady nauczyciela szkoły wiejskiej. Umowa odnośna doszła do skutku, i p. Borakowski z dniem 1-go maja objął obowiązki nauczyciela w szkole adampolskiej.

Poprzednio już w korespondencjach do gazet polskich podawałem wiadomości, o Adampolu, i o beczynności tamtejszej szkoły z powodu braku funduszków na opłacanie nauczyciela. Jakoż na początku czerwca otrzymałem z poczty ruskiej list pieniężny, datowany z Poltawy d. 8 czerwca 1889 r., który przytaczam tu w całości:

Panu Stanisławowi Czarnowskiemu w Konstantynopolu:
„Jeden z numerów „Słowa”, gazety warszawskiej, podaje

list, z Adampola żądając wsparcia na opłatę nauczyciela. Czytniacz zadość prośbie kolonistów wysłano pod adresem Pana piętnaście rubli w dwóch ruskich banknotach. — Połtawianie.“

Zawiadomiłem o tem zaraz wójta gminy Adampol i wkrótce otrzymałem odeń następujące pismo z dn. 17 czerwca 1889 r.

„Szanowny Panie! Prosimy Pana, aby był łaskaw wyłożyć z pieniędzy nadesłanych 150 piastrow dla p. Baranowskiego, jako pensję za miesiąc maj, a zarazem przyjąć wyrazy naszego poważania. Szanownego Pana uniżeni słudzy Koloniści Adampola, za których podpisuje — Ludwik Biskupski“ (Z przyłożeniem pieczęci urzędowej tureckiej).

Pismo powyższe przyniósł mi p. Borakowski, któremu kwotę otrzymaną od Połtawian wypłaciłem za pokwitowaniem następującem:

„Nadesłane z Połtawy rb. 15 (wyraźnie rubli piętnaście w banknotach) stosownie do powyższego upoważnienia, jako na pensję za miesiąc maj od p. S. Czarnowskiego otrzymałem i niniejszem z odbioru kwituje. Konstancyopol, d. 18 czerwca 1889 roku. — Bronisław Borakowski, nauczyciel szkoły adampolskiej“.

Na początku czerwca 1889 r. otrzymałem zaproszenie na Zjazd magistrów Szkoły Głównej w Warszawie, w liście od kolegi Włodzimierza Powichrowskiego, w imieniu zarządu zjazdu, treści następującej:

„Szanowny Kolego! W gronie koleżeńskim powstała myśl urządzenia w d. 29 czerwca 1889 r. zjazdu magistrów Szkoły głównej warszawskiej, którzy ukończyli takową na Wydziale prawnym w roku 1869. Program zjazdu: 1) nabożeństwo w kościele Wzytek na Krakowskim-Przedmieściu, między godz. 10 a 11, co zarazem będzie punktem zbornym uczestników zjazdu. 2) Zbiorowa fotografia. 3) Obiad w resursie kupieckiej. Urządzeniem zjazdu zajmują się koledzy: Jan Maurycy Kamiński (ul. Niecała № 8), Lucjan Bojasiński (ul. Senatorska № 26) i niżej podpisany (ul. Długa № 27).

„Urządzający zjazd uprzejmie zapraszają Szanownego Kolegę z prośbą o zapisanie się, o ile można jak najrychlej listownie lub osobiście na liście w tym celu utrzymywanej przez podpisanego. Koszty przypuszczalne od osoby 10 rubli. — Z poważaniem, w imieniu urządzających Zjazd: Włodzimierz Powichrowski.“

Wobec moich obowiązków miejscowych i niemożności wyjazdu na czas dłuższy, odpisałem wyjaśniając, że nie jestem w możności przybycia na zjazd, i zsyłam tylko koleżeńskie życzenia pomyślności.

Wkrótce potem otrzymałem od Towarzystwa polskiego wzajemnej pomocy w Sredu cz. Sofji stolicy Bólgarii list z dnia 3 czerwca 1889 r., który tu podaję w całości:

„Do W. Pana Czarnowskiego w Konstantynopolu:

„Zarząd Towarzystwa polskiego wzajemnej pomocy w Sofji pośpiesza niniejszem złożyć W. Panu najserdeczniejsze podziękowanie w imieniu Towarzystwa za nadsyłane dary w rozmaitych dziełach i gazetach, które ciągle zasilają i zasilają naszą czytelnię. Szlachetny i patriotyczny ten czyn W. Pana będzie zapisany nie tylko w pamiętnikach naszego Towarzystwa, lecz w sercach i pamięci zobowiązanych nim rodaków, których los skazał żyć na obczyźnie, a których staraniem ciąglem jest i będzie zachować w sobie i swych dzieciach nienaruszone poczucie polskości.

„Zostajemy z głębokiem uszanowaniem wdzięcznymi rodakami. — Przewodniczący: B. Anc, zastępca przewodniczącego: G. Jaworeńko, bibliotekarz: J. Dąbrowski, skarbnik: A. Tomicz, sekretarz: M. Woronowicz“.

Do listu powyższego dołączony był Statut Tow. pol. wzaj. pomocy w Sofji (drukowany we Lwowie 1888 r. w 16-ce) i Sprawozdanie Zarządu tegoż Towarzystwa za rok 1889 litografowane. W sprawozdaniu tem były wyszczególnione dzienniki i czasopisma wysyłane dla czytelni i wyliczone książki dla biblioteki.

W połowie czerwca otrzymałem od prezesa Towarzystwa oświaty ludowej we Lwowie list z wiadomością o wysłaniu ofiarowanych książek, datowany 15 czerwca 1889 r., następujący:

„Szanowny Panie! Dziękując uprzejmie za przysłane nam dzieła zarazem posyłam: Statut naszego Towarzystwa, Sprawozdanie za r. 1888 (w 2 egzemplarzach) oraz 43 dzieł i broszur w darze od siebie i od Towarzystwa oświaty dla Biblioteki polskiej w Carogrodzie. Z wysokiem poważaniem: A. Hirszberg, prezes Tow. ośw. lud.“.

Wkrótce po otrzymaniu listu powyższego nadeszła paczka z zapowiedzianemi książkami pocztą austriacką, która według przepisów obowiązujących odesłała ją na Komorę celną turecką dla ocenzurowania, a mnie o tem uwiadomiła. Cenzor znajomy grek poliglota wydał mi wszystkie książki bez trudności. Ale jedną broszurę obejmującą poemat o królu Janie Sobieskim bez czytania w moich oczach podarł na drobne kawałki. Objąśnił, że o pogromcy tureckim pod Wiedniem wszystko było w Turcji niecenzuralne i zakazane bezwzględnie. Rad nie rad zabrałem resztę książek i zaraz je oddałem do biblioteki miejscowego Towarzystwa polskiego za pokwitowaniem.

Podobnie Towarzystwo oświaty ludowej w Krakowie, które prosiłem o nadesłanie książek dla czytelni polskiej na Wschodzie, w liście z dn. 30 czerwca 1889 r., przysłało swój katalog książek ludowych z prośbą o zaznaczenie najodpowiedniejszych, poczem ofiarowało też partję broszur i książek na moje ręce, dla rozdania czytelnikom miejscowym.

Przezacny redaktor warszawskiej „Gazety świątecznej” Konrad Prószyński-Promyk, który tak gorliwie pracował na niwie krajowej oświaty, pośpieszył również z pomocą dla rodaków na obczyźnie, jak to widać z listu z dn. 29 lipca 1889 r., jaki tu przytaczam:

„Do W. Pana Stanisława Czarnowskiego w Konstantynopolu:

„Szanowny Panie! Żądaniu Pańskiemu, wyrażonemu w liście z dn. 10.VI 1889 r. chętnie czynię zadość, ofiarowując dla wskazanych księgozbiorów po egzemplarzu „Gazety świątecznej” oraz książek własnego nakładu. Spełniam również żądanie Sz. Pana dawniejsze, na które w swoim czasie odpowiedzieć nie zdołałem, i załączam fotografię własną. Z uszanowaniem — K. Prószyński”.

W pierwszych dniach lipca 1889 r. do mieszkania na I-em piętrze pod naszym mieszkaniem wprowadził się nowy lokator francuz, główny mechanik kolei Tunelu, młody człowiek z żoną i dwojgiem małych dzieci.

Z nastaniem pory gorącej lata wieczory pogodne, po powrocie z przechadzki z Ma, przepędzaliśmy często siedząc na terasie nad naszym mieszkaniem, skąd na całe miasto rozciągał się wokoło widok rozległy i wspaniały: na Perę, Galatę, Złoty Róg i Stambuł olbrzymi niknący w nocnej pomroce widnokregu, pod szafirowem sklepieniem nieba usianego gwiazdami.

Widok ten w uroczyste święta mahometańskie Bajramu podczas iluminacji wszystkich meczetów i minaretów jest czarodziejski. Galeryjki minaretów oświetlone mnogimi lampjonami w ciemnościach nocy wydają się jakby wielkie żyrandole zwieszające się z niebios nad miastem.

W niedzielę i święta pogodne przez całe lato robiliśmy z Ma jak zwykle wycieczki dalsze parowcami na wybrzeża Bosforu, do Pasza-Bagcze, Terapij i na Wyspy książęce dla użycia kąpeli morskiej.

Ambasada ruska w swoim wspaniałym pałacu przy Wielkiej ulicy Pera, na I piętrze w pięknej sali balowej urządziła, na cel dobroczynny, świetną wystawę obrazów słynnego malarza pejzażów morskich Ajwazowskiego.

Jan Ajwazowski urodził się w roku 1817 z rodziny armeńskiej mieszkającej w Krymie w Teodozji nad morzem. Ojciec jego Konstanty jako kupiec mieszkał tam stale. Młody Ajwazowski już jako trzynastoletni chłopiec zwrócił na siebie uwagę niepospolitemi zdolnościami w rysunkach, mianowicie widoków morza, którego był miłośnikiem zapalonym. Kształcił się w gimnazjum Symferopolu do roku 1833. Następnie w Akademii sztuk pięknych w Petersburgu. Po pięcioletnim kursie, w r. 1838 wrócił do Krymu, gdzie wykonał dużo studjów, których przedmiotem było umiłowane przezeń morze. Z tego czasu pierwsze jego prace już były ogólnie podziwiane. Zwiedziwszy wybrzeża

Morza śródziemnego osiadł w r. 1843 w Paryżu, skąd po uzyskaniu złotego medalu powrócił do Petersburga. Tam otrzymał zamówienia rządowe na wymalowanie wszystkich portów Bałtyku i Morza Czarnego. Najznakomitsze jego obrazy są: bombardowanie Teodozji przez Turków i spalenie floty tureckiej przez Rosjan pod Czesme. Od roku 1847 został mianowany malarzem nadwornym i profesorem w Teodozji, gdzie we własnym domu i swoim kosztem założył w roku 1880 galerję obrazów dla pożytku młodych artystów. Doczekał się za życia sławy i uznania powszechnego. W roku 1888 Akademia petersburska obchodziła 50-cio lecie artystycznej jego działalności, i wydała medal złoty z popiersiem jubilata. W Warszawie w roku 1886 wystawił kilkanaście swoich obrazów na dochód kształcących się artystów, do dyspozycji komitetu Towarzystwa sztuk pięknych, skutkiem czego został wybrany na członka honorowego tegoż Towarzystwa. Obrazy jego odznaczają się czarowną harmonją barw i mistrzowskim oddaniem ruchu fal morskich, co mieliśmy szczęśliwą sposobność podziwiać z Ma jako lubownicy morza entuzjastyczni na świetnej wystawie w pałacu Ambasady ruskiej. W pośród kilkudziesięciu jego obrazów tam wystawionych odznaczała się burza na morzu Azowskiem, a nas zachwycał precyzyjny widok wschodu słońca na wyspie Capri, na którym fale morskie na wybrzeżu przeświecają czarownie różowe promienie jutrenki.

W magazynie naszym praca i czynności szły zwykłym trybem. Co miesiąc regularnie wysyłałem do Zarządu fabryki w Warszawie sprawozdanie i bilans. Od czasu do czasu nowy transport towaru nadchodził dla uzupełnienia zapasów sprzedanych.

Komisja emigracyjna Zjazdu prawników i ekonomistów polskich, który odbył się w lecie we Lwowie, nadesłała mi obszerny kwestjonariusz, obejmujący 18 pytań bardzo szczegółowych, dotyczących emigracji polskiej w Turcji, z prośbą o dokładne sprawozdanie. Po zebraniu całego materiału przesłałem rzeczonyj Komisji gruntowny referat. Podąłem go także w celu publikacji do tygodnika petersburskiego „Kraj”, w którym pomieszczałem stale moje korespondencje p. t. „Listy ze Wschodu”, (o czem już nadmienilem poprzednio). „Kraj”, w nrze 50 z dn. 26 grudnia 1890 r. na str. 4, pomieścił to moje sprawozdanie jako artykuł p. t. „Polacy na Wschodzie”, podpisany pseudonimem moim St. Janczar (jako skrót moich dwóch imion i nazwiska). Artykuł ów przytaczam tutaj w całości:

„Dawne liczne stosunki historyczne, bliskie sąsiedztwo Wschodu europejskiego i łatwość komunikacji sprawiały, że wychodzący nasi w różnych czasach chętnie w tamte strony dążyli, tworząc tam mniej lub więcej liczne kolonie. Na Wschodzie w ściślejszem znaczeniu, t. j. z wyłączeniem t. zw. dalekiego Wschodu, niema prawie znaczącego miasta, gdzieby nie było

gromadki wychodźców polskich, nie licząc emigrantów rozslanych pojedynczo w miejscowościach pomniejszych. Komisja emigracyjna Zjazdu prawników i ekonomistów polskich po zebraniu odnośnych sprawozdań i wiadomości przy pomocy rozslanych kwestjonariuszy, zdobędzie bogaty materiał, który rzuci jasne światło na stan współczesny i stosunki całego wychodźstwa polskiego wogóle. Mając sobie poruczone wypełnienie kwestjonariusza rzeczzonego co do Turcji a mianowicie Carogrodu i Adamówki czyli Adampola w Azji mniejszej, dzielę się z czytelnikami „Kraju“ treścią zebranych danych i uwag dotyczących się emigracji naszej na Wschodzie.

Najsilniejszy prąd napływu i osiedlenia się tam wychodźców polskich miał miejsce podczas wojny krymskiej około r. 1854, podczas formowania pułków t. zw. kozackich przez Czajkowskiego (Sadyka-paszę) i innych dowódców. Krom tego burzliwe lata 1831 r. 1848 i 1863 rzuciły znaczną ilość wychodźców w owe strony. Później liczba rodaków tam przybywających zmniejszyła się znacznie; głównie żydzi polscy przez Odesę i inne punkty licznie napływają do Turcji.

Polacy zamieszkali w Carogrodzie rozproszeni są wśród milionowej niemal ludności miejscowej turków, greków, armenczyków, żydów i europejczyków wszelkiej narodowości; Ogółem licząc z kobietami i dziećmi zbierze się tam polaków około setki. Zajmują się oni głównie rzemiosłem i pracą wyrobniczą, z małym wyjątkiem. W ostatnich czasach było tam polaków właścicieli domów mniejszych lub większych 10, rękodzielników i rzemieślników około 30, wyrobników 5, lekarzy 2, księży 2, nauczycieli 2, kupiec 1, żebraków 5.

Stan ekonomiczny wychodźców tamecznych z powodu ogólnego zastoju i wielkich trudności znalezienia pracy jest bardzo niepomyślny. Cena dzienna wyrobnika bez wiktury wynosiła w roku 1889 w Carogrodzie od 5 do 10 piastrow, czasami wyżej lub niżej. Koszt dziennego utrzymania wyrobnika 2 do 5 piastrow. Sposób życia prosty i oszczędny. Wychodźcy żyją przeważnie razem z rodzinami, w części zaś pojedynczo na własną rękę, w mieszkaniach najmowanych z meblami. Z powodu nieustannego napływu przybyszów z całego świata i wielkiego współzawodnictwa, wychodźcy polacy muszą walczyć z wielkimi trudnościami w znalezieniu pracy, mianowicie też stałego zajęcia jakiego bez protekcji otrzymać niepodobna. Pustki w skarbie tureckim nie pozwalały tam wcale liczyć na posady rządowe, zyskiwane dawniej łatwo i korzystnie. Wyzysk przeto pracy wyrobniczej jest ogromny, jak również niebezpieczeństwo być oszukany na każdym kroku przez niesumiennych faktorów miejscowych, a nawet niby przyjaciół i doradców baczących zwykle na własną korzyść. Tem bardziej jeszcze przy nieznajomości różnych języków miejscowych: tureckiego jako

urzędowego, greckiego będącego w rozległym użyciu w handlu, a francuskiego w sferach wyższych.

Stan zdrowia wychodźców dzięki pięknemu klimatowi jest tam wogóle dobry, choć zdarzają się niekiedy epidemie, jak np. cholera, gorączka danga, nie mówiąc już o częstej influencji. Warunki hygieniczne Carogrodu, co do mieszkań, źle lub wcale nieogrzewanych, braku wszelkiej czystości i drogiej bardzo żywności, są bardzo ujemne, łagodzi je nieco klimat zdrowy i ciepły, oraz położenie miasta nadmorskie, górzyste, przewiewne.

Z przyczyn wymienionych wielu wychodźców marnuje się w biedzie, włóczędce, to też nic dziwnego, że zdarzają się między nimi nawet samobójstwa. Zapobiegać temu stara się miejscowe „Polskie towarzystwo wzajemnej pomocy i dobroczynności”. Z powodu jednak małych środków, prywaty, nieustannych intryg i fałszywych ambicji — nie spełnia ono należycie swych zadań, targając siły na nieustanne waśnie i spory wewnętrzne. Wogóle stan moralno-umysłowy wychodźców tamtejszych z powodu trudności kształcenia się w duchu narodowym i braku szkoły polskiej, przedstawia dużo do życzenia. Rodacy zamieszkali w Carogrodzie wyznają religję rzymsko-katolicką. Jest tam i trochę żydów z Polski, ale ci nie uważają się za Polaków, i zlewają się z kolonią izraelską miejscową. Żydzi z Rosji przybywający nad Bosfor, chroniąc się przed pogromami, dla zyskania względów u władz tureckich trudnią się szpiegostwem i denuncjacjami. Przez żargon schlebiają też Niemcom, którzy zdobywają w Turcji wpływ coraz większy i korzystają chętnie z usług szpiegowskich żydów.

Dzieci emigrantów Polaków przybyłych z Europy, urodzone i wychowane na Wschodzie mało albo wcale nie mówią po polsku z rodzicami, a tem mniej między sobą. W miejscach publicznych Polacy używają mowy rodzinnej między sobą; natomiast w towarzystwie cudzoziemców lubią przez próżność, w mniemaniu jakiejś wyższości, popisywać się znajomością obcych języków, mianowicie francuszczyzny. Zanikanie cech narodowych, języka i zwyczajów następuje zwykle w drugim pokoleniu, t. j. u dzieci dorosłych, urodzonych na miejscu z Polaków przybyłych z zagranicy.

Małżeństwa mieszane Polaków z kobietami innej narodowości zdarzają się często, mianowicie z Greczynkami, Armenkami. Dzieci takich rodziców mówią zwykle językiem matczynym. Wynika to z tego, że niemowlęta i małe dzieci przebywają ciągle z matką, a z ojcami zajętymi pracą poza domem mało, więc języka ojczystego nie uczą się wcale albo niewiele. Małżeństwa z Polkami są rzadsze. Greczynki, Armenki, a nawet Niemki narzucają się zwykle same, a gdy są majątne i wyposażone stanowią zdobycz pożądaną dla emigrantów niezamożnych,

Kościół polskiego w Carogrodzie niema. Zastępują go kościoły rzymsko-katolickie obsługiwane zwykle przez duchownych francuskich lub włoskich, a co również przyczynia się bardzo do wynarodowienia polaków. Prawosławni rosjanie, bułgarzy i inni słowianie mają swoje cerkwie narodowe z nabożeństwem w języku ojczystym i nie kosmopolityzują się wcale. Na Pera przy kościele parafjalnym św. Marji (Sainte-Marie), był jakiś czas ksiądz zakonnik polak, ale nabożeństwo odprawiał po łacinie.

Szkoły polskiej, nawet początkowej w Carogrodzie niema wcale. Projekt założenia jej, nie został urzeczywistniony. Istnieje natomiast „Biblioteka i czytelnia polskiego towarzystwa wzajemnej pomocy” licząca blisko 1000 tomów, z małym muzeum, obejmującym pamiątki historyczne, portrety, ryciny, fotografie, mapy i t. p. Kilkanaście czasopism polskich nadsyłają niektóre redakcje dobrej woli przeważnie bezpłatnie. Przyczynia się to do utrzymania łączności umysłowej z krajem macierzystym.

Osada polska Adampol albo Adamówka, o 4 godziny drogi od przystani Bejkos nad Bosforem odległa stanowi kolonję wyłącznie rolniczą. Założona w r. 1840 przez księcia Adama Czartoryskiego, rozwinęła się o tyle, że niema tam już wolnych gruntów dla nowych osadników, chyba gdyby chcieli dla siebie las karczować. Adampol liczy około 200 głów ludności polskiej wraz z kobietami i dziećmi. Najwięcej kolonistów osiadło tu po wojnie krymskiej. Zajmują się oni prawie wyłącznie rolnictwem a w wolnym czasie i myślistwem w lasach należących do kolonji. Gospodarzy samodzielnych jest około 40, reszta ludności stanowi ich rodziny lub pojedynczych wyrobników wiejskich. W pobliskiej okolicy mieszka ich również kilku we wsiach sąsiednich. Osadnicy pojedynczy posiadają od 30 do 300 dylomów gruntu, 2 dylomy stanowi blisko 1 mórg. Krom rolnictwa kilku osadników zajmuje się murarstwem i stolarstwem, lecz tylko na potrzebę miejscową. Cena najmu jest tu nieco niższa niż w Carogrodzie, a wogóle latem znaczniesza niż w zimie, gdy niema prawie wcale roboty w polu. Koszt utrzymania robotnika pojedynczego równie znacznie mniejszy niż w stolicy. Mimo to stan ekonomiczny osady nie jest pomyślny i niewiele gospodarzy dorobiło się tam większego mienia. Ziemia z natury tam urodzajna, lecz susze latem, a mgły morskie na wiosnę i jesienią szkodzą bardzo roślinności, zarówno na polach, jak w sadach i ogrodach warzywnych.

Zdrowotność Adampola jest wogóle wyborna, i nawet w czasach epidemij panujących w kraju nie zdarzają się tam groźniejsze wypadki. Lekarze też stołeczni wysyłają tam często pacjentów na wilegaturę. Przynosi to kolonistom dochód pożądany, tem bardziej, że szczyplu urodzaj rzadko pozwala im zbywać zboże i inne produkty. Jedynie rabia i zwierzyne spieniężają

stale w mieście. I to jednak jest bardzo utrudnione przez brak komunikacji kołowej. Albowiem od przystani parowców Bejkos wgląd lądu do Adampola niema wcale drogi wozowej. Ładunki przewożą się wierzchem na koniach. Przytem trzeba czekać zebrania się kilku naraz sąsiadów, dla zabezpieczenia się od napści i rabunku w drodze.

Małżeństwa mieszane kolonistów polskich z cudzoziemkami zdarzają się coraz rzadziej. Język też ojczysty i zwyczaje swojskie przechowują się tu w całej czystości, nie tak jak w wielkich miastach, gdzie wychodźcy nasi szybko się wynarodowiają. Dzielni wieśniacy tameczni zachowują swą narodowość i samostność w całej sile. Stan umysłowy tylko przedstawia tam wiele do życzenia. Brak stałej szkoły nie pozwala na kształcenie dzieci na miejscu, a niekażdy oddawać je może daleko do miasta, gdzie zresztą są tylko szkoły cudzoziemskie. Adampol posiada budynek i lokal szkolny. Był tam przez jakiś czas nauczyciel polak, lecz dla braku funduszków musiał szukać zajęcia gdzieindziej.

Założona niedawno „Czytelnia Adampolska“ mieści się w lokalu szkolnym i powoli się powiększa. Liczy około 200 tomów książek i kilka czasopism ludowych, nadsyłanych bezpłatnie przez redakcje. W tymże budynku szkolnym jest także kaplica, a osobno kościół w lichym stanie. Przysłany tam duchowny polak zajmie się może podniesieniem tych jedynych miejscowych zakładów społecznych, jak również i nauką dzieci choćby początkową.

Zarząd ogólny osady spoczywa w ręku obieralnego wójta gminy i ławników, podległych jedynie kajmakanowi czyli tureckiemu naczelnikowi okręgu. Zawisłość ta zresztą polega na opłacie corocznej podatku gruntowego czyli dziesięciny rządowej.

Okromi wymienionych większe kolonie emigracyjne na Wschodzie znajdują się w Płowdywie (Filipopolu) w Sredcu (Sofji) i w Bukareszcie. W tych trzech miastach zawiązały się niedawno stowarzyszenia polskie wzajemnej pomocy, biblioteki i czytelnie. W Belgradzie, gdzie niewielu jest rodaków stowarzyszenia niema, tylko biblioteka polska.

Zresztą wielu wychodźców naszych rozproszonych pojedynczo mieszka w Warnie, Burgasie, Angorze, Smirnie, Ismiecie, Amasji, Koniah, Czernawodzie i in.

Byt wychodźstwa polskiego na Wschodzie południowym, jak widać z powyższego, nie jest pomyślny. Ale stokroć gorszy jest los dziewcząt polskich wywożonych jako tak zwany „żywy towar“ do domów publicznych tamtejszych dla prostytucji. Dowodzą tego jaskrawe fakty podane przeze mnie w swoim czasie w warszawskim dzienniku „Słowo“ nr. 168 z dnia 31 lipca 1891 roku w korespondencji p. t. „Handlarze kobiet“.

Właścicielka lupanaru w Carogrodzie na Galacie niejaka Wachs, sprowadziła młodą polkę chrześcijankę z Galicji, obiecując korzystne miejsce nauczycielki domowej w Stambule. Tymczasem biedną dziewczynę zamknęła w swoim lupanarze. Od pierwszego zaraz dnia po przybyciu zaproponowała jej swoje rzemiosło. Gdy dziewczyna o tem nawet słuchać nie chciała, zaczęła ją bić, katować, głodzić, wskutek czego po pięciu dniach nieszczęsna zmarła. Niejaki dr. Schwartz, Niemiec, wydał świadectwo śmierci wskutek choroby. Wtedy p. Roth, przedsiębiorca pogrzebów żydowskich, któremu zmarłą przedstawiono za izraelitkę, polegając na świadectwie dra Schwartz'a i Wachsowej, pochował ciało zmarłej na cmentarzu żydowskim w Haskej.

W kilka dni potem sąsiadka Wachsowej, równie właścicielka domu rozpusty, zadenuncjowała ją w Konsulacie austriackim. Konsulat początkowo zajął się bardzo ostro tą sprawą i wydał p. Rothowi polecenie ekshumacji w sobotę. Gdy zaś przedsiębiorca ów zwrócił uwagę, że to jest dzień szabasu, co może wywołać zaburzenia, naznaczono ekshumację na poniedziałek. Skoro jednak p. Roth w poniedziałek chciał przystąpić do tej czynności, otrzymał z Konsulatu zawiadomienie, by zaniechał wszystkiego, bo sprawa została już załatwiona. I cicho sza! jak gdyby nigdy nic się nie stało. Gdy korespondent jednej z gazet niemieckich udał się do Konsulatu po bliższe wyjaśnienia w tej sprawie, poradzono mu, iż lepiej aby rzeczy tej, przykryj dla całej kolonii austriackiej nie rozmazywał...

Niestety! takich ran społecznych nie godzi się ukrywać. Tylko ciągła baczność, wykrywanie i podnoszenie faktów tak ohydnych może doprowadzić do ich wykorzystania, a tymczasem choćby do zapobiegania częstszemu ich powtarzaniu się. Dowodem tego fakt inny lepszym uwieńczony skutkiem, a podniesiony przez czasopismo „Rola“, które miejscowa „Czytelnia polska“ otrzymuje.

Do Konsulatu austriackiego w Carogrodzie, mówi tygodnik pomieniony, przybiegła młoda dziewczyna i oznajmiła, że się nazywa Katarzyna Adamowska, że jest córką stolarza z Przemysła w Galicji, że przez małżonków Flechów, związyjących się też Kwatsche (niemców) została sprzedana agentowi, który ją wywiózł do Pesztu. Tu spotkała się z Marją Komuniak, córką włościanina z okolic Sambora, sprzedaną w tem mieście drugiemu agentowi przez niejaką Bremerową, niemkę. Ztąd obaj agenci ze swoim towarem odbywali wspólnie podróż do Carogrodu. Tam zawieziono dziewczęta do jakiegoś ogrodu za miastem, gdzie oczekiwało już kilku kupców, którzy po długim targu zapłacili po 600 florenów austriackich. W domu swego nabywcy zastała Adamowska kilkanaście dziewcząt z Galicji, równie jak ona sprzedanych, a teraz pilnie strzeżonych. Nie wolno im było mówić swoim językiem pod karą chłosty, natomiast

musiały się uczyć po turecku, żeby się umiały choć trochę rozmówić, zanim umieszczone zostaną w lupanarze, do którego były przeznaczone. Katarzyna nie mogła znieść takiego życia, a nie bacząc na grożące jej niebezpieczeństwo, spuściła się w nocy oknem z pierwszego piętra i z trudnością dopytała się o Konsulat austriacki, skąd po sprawdzeniu wiarygodności jej opowiadania, odesłano ją do Galicji.

Tam Prokuratorja rozpoczęła zaraz śledztwo w Przemyślu i kilku handlarzy „żywym towarem“ osadziła w areszcie. Ciekawa rzecz pod jakimi pozorami zdołano owe dziewczęta wywieźć z kraju? Widocznie nie wiedziały one o swem istotnem przeznaczeniu. Jeśli bowiem Adamowska miała odwagę wyskoczyć w nocy z piętra i w nieznanem sobie mieście takim jak Carogród odszukała swój Konsulat, to daleko łatwiej byłoby jej oprzeć się wywiezieniu swemu w Przemyślu, a choćby i z Pesztu. Koniec końcem, gdyby nie energja młodej dziewczyny, niewinny handelek w Przemyślu nie zostałby wykryty.

Agentami w tym razie byli niemcy, nie żydzi, gdyż między owemi dziewczętami sprzedanemi, które Adamowska widziała w Carogrodzie, było też kilka żydówek. A więc i tego pięknego rzemiosła pozazdrościli żydom szwaby, przechwalający się zawsze swą kulturą i cywilizacją.

Wogóle biorąc, jak wiadomo, handel wywozowy dziewczętami idzie w dwóch głównie kierunkach: na Wschód i na Zachód do Ameryki. W Hamburgu między innymi sąd karny, skazał współcześnie na trzy lata więzienia żyda z Warszawy Radnera, który wywoził młode dziewczęta do Argentyny i oddawał je do domu rozpusty. W Warszawie też nieraz chwymano łotrów sprzedających młode kobiety do domów publicznych miejscowych, lub wywożących je za granicę w tymże celu. W Odesie również władze portowe od czasu do czasu przyłapują faktorów żydów, wysyłających żywy towar na rynki Wschodnie. W Galicji i wogóle w zgniłej Austrii rozwijał się zorganizowany systematycznie handel dziewczętami.

Konsulowie austriacy na Wschodzie donosili nieraz swemu rządowi, że handel kobietami „ożywił się“ tam znacznie w ostatnich latach, i że jak świadczą zebrane fakty, niemal wyłącznie polem działania faktorów żydów kupujących żywym towarem stała się obok Rumunji Austrija a głównie nasza biedna Galicja.

Ze sprawozdań tych urzędowych okazuje się, że w samym Carogrodzie w domach publicznych przeszło 200 dziewcząt pochodzi z Galicji oraz miejscowości sąsiednich Królestwa kongresowego, nie licząc wielu sprzedanych do haremów prywatnych.

A prawie zawsze są to ofiary podstępu lub gwałtu!!

Urzędownie stwierdzono, że po Galicji jeżdżą specjaliści faktorzy, wypatrujący odpowiedni towar żywy, i kupujący go nawet

u krewnych lub ubogich rodziców. Zaprzędawanie w niewole i na rozpustę córek przez własnych rodziców jest rzeczą straszną, świadcząca jak rozpaczliwą jest nędza ludu...

Żywy towar ma widocznie wielką wziętość i pokup, gdyż faktorzy płacą zań duże pieniądze. Wyborowa dziewczyna płacona tam jest na miejscu do stu florenów austriackich. Dla nędzarza galicyjskiego to prawie majątek i pokusa ogromna. Nie dziw przeto, że handel dziewczętami wzrasta i rozszerza się ciągle.

Depesze wymieniane między faktorami a głównymi agentami w żargonie umówionym, zwróciły uwagę władz na ślad owych handlarzy. W Galicji też aresztowano i uwięziono wspólnie dwóch takich „przedsiębiorców“, Abrahama Strumpfnera i Mojżesza Mizesa. Łotry owe kierowali całą szajką drobnych faktorów, działających na miejscu niemal w każdym miasteczku i wiosce.

Namiestnik cesarski w Galicji wobec tego rozesał okólnik polecający władzom policyjnym i administracyjnym wzmocnić nadzór nad podejrzanymi ludźmi trudniącymi się wywozem dziewcząt galicyjskich do Turcji. Okólnik ten spowodowany został otrzymaniami przez Ministerstwo spraw wewnętrznych wiadomościami, że w Carogrodzie w domach publicznych znajdują się setki dziewcząt galicyjskich sprzedawanych do niewoli i dostawianych tam przez specjalnych komisjonerów żydów jeżdżących po całej Galicji. Handel ten w ostatnich czasach coraz bardziej się rozrasta, a głównymi jego organizatorami byli owi uwięzieni żydzi Mojżesz Mizes i Abaham Strumpfner, którzy mieli wpośród swoich współwyznawców mnóstwo pomocników, a nawet po uwięzieniu swem łatwo znaleźli zastępców w tym złotodajnym „geszefcie“.

Rzecz trudna do uwierzenia, a jednak stwierdzona urzędownie, że owo ohydne przedsiębiorstwo, zorganizowane na szeroka skalę, działało najbezpieczniej pod okiem państwowej policji austriackiej, a nawet są poszlaki — że współdziałał niektórych jej członków.... I dopiero wskutek polecenia z Wiednia cesarskie Namiestnictwo we Lwowie rozesało w tej ciemnej sprawie wspomniany okólnik do wszystkich Starostw prowincji, z rozkazem energicznego śledzenia handlarzy dziewczętami.

Dyrekcja policji w Krakowie otrzymała również ten rozkaz a jeden z dzienników tamtejszych, z tego powodu pisał między innymi co następuje: „Wierzyć się doprawdy nie chce, gdy się czyta wiarogodne sprawozdania, do jakich rozmiarów ostatnimi czasy wzrósł handel dziewczętami. Wyzysk tych nieszczęśliwych istot przechodzi wszelką miarę. Raz wpadłszy w sieć stają się żywym towarem, a handlarze obchodzą się z niemi częstokroć gorzej, haniebniej, aniżeli z czarnymi niewolnikami. Według raportów konsulów austriackich w samym Kon-

stantynopolu handlarze mają mieć „na składach” jak się wyrażają, setki dziewcząt, przeważnie z Austrii, głównie zaś z Galicji pochodzących. Dziewczęta owe odcięte zupełnie od świata, trzymane formalnie jak w więzieniu a niejedna padnie ofiarą w tajemniczy zbrodniczy sposób, gdy się upomina o prawa wolności. Naturalnie handel taki odbywa się pod osłoną największej tajemnicy. Handlarze umieją się maskować, więc przyłapanie ich na zbrodniczym uczynku jest trudne. Prawie co tydzień przychodzić mają do Konstantynopola transporty dziewczyn najczęściej okrętem na Warnę lub Gałac, a wyładowywane bywają w miejscu dla władz konsularnych niedostępnem.”

Nawet organ żydów wiedeńskich „Neue freie Presse” w jednej z korespondencji z Konstantynopola potwierdza, że w ostatnich czasach dowożą tam z Austrii mnóstwo niewolnic: „Konsulowie austriaccy, pisze pomieniony dziennik, starają się wpaść na trop handlarzy żywym towarem ale bezskutecznie, ci bowiem są bardzo ostrożni. Handlarze werbują najczęściej piękne a ubogie dziewczęta z Galicji. W Konstantynopolu istnieje nawet specjalna giełda dla handlu kobietami. Cena ich waha się między 30 a 50 liwrami tureckimi (1 liwr = 23 frankom). Za lepiej zbudowane i piękniejsze płacą nawet i więcej. Brzysze wywożą dalej do Smirny, Aleksandrii, Kairo i t. p.

Handlarze kobiet utworzyli tam specjalną gwarę dla siebie, którą się posługują w listach i depeszach telegraficznych. Dotyczących przesyłki dziewcząt. A panom tym nieźle się dzieje, robią grube majątki, mają rozległe stosunki, protekcje i wpływy. Cała falanga ludzi uwikłanych w ich sieci gniew karki przed nimi. Często wrzeczy zbrodni lekarze i dygnitarze tureccy są na ich skinienie, aby ich uwolnić od wszelkiej odpowiedzialności. Jeden z głównych takich dostawców haremowych w Carogrodzie, zrobiwszy na tym ohydny handel wielki majątek, jeździł po mieście kareta i odbierał niskie pokłony. Miał szerokie wpływy, łatwo wyrabiał wysoką protekcję.

Jedno z pism warszawskich słuszną czyniło w tej sprawie uwagę, że walka z tem strasznym złem powinna być prowadzona wszędzie całymi siłami. Inaczej będziemy biernymi współwinnymi najhaniebniejszego rodzaju handlu, stanowiącego zaletę ludzkości!

Wśród emigracji zagranicą, obok ludzi uczciwych i nieszczęśliwych wygnańców, trafiają się wyrzutki społeczne oszuści międzynarodowi, ptaki niebieskie, co nie orzą ani sieją, ale żyją z wyzysku innych. Do takich typów należał niejaki Kozakiewicz, który już w Nicei w r. 1884 nawiedził mię włączając się po zebraniu, udając polaka, a przed rosjanami i popem dla wyludzenia datku udawał prawosławnego, modląc się w cerkwi tamecznej, żegnając się i kiwając pobożnie. W r. 1889 znów zjawił się w Konstantynopolu w magazynie naszym w odmiennym postaci jako przyzwolony komiwojażer handlowy kilku po-

kupnych artykułów. Najprzód zaproponował mi kupno zegarka kieszonkowego w czarnej kopercie bardzo tanio. Gdy odmówiłem kupna, pokazując, że mam już zegarek, wyciągnął z portfela kilka akcyj kopalń srebra w Hiszpanji, jakoby bardzo zyskownych. Akcje owe miały wygląd fałszywych, a kopalnia być może wyczerpana i zbankrutowana. Gdy z akcjami nic nie wskórał, dla dobicia targu wyjął z kieszeni sakpalta flaszkę likieru gorzkiego francuskiej pomarańczówki „Amère-Pikon” i chciał mi zostawić dla wypróbowania. Znudzony tem naciąganiem, odpowiedziałem, że spirytualij nie pijam wcale i żeby mi dał spokój. Wtedy zobaczywszy mojego pomocnika przy drugim pulcie p. Juljana, zwrócił się doń bardzo grzecznie ze swemi propozycjami. Pokazując zegarek, podał korzystny warunek, że przy nabyciu tuzina dla sprzedaży wśród znajomych po bardzo taniej cenie, dostaje się jeden zegarek darmo dla siebie. P. Juljan dał się skusić i zgóry wypłacił sporą zaliczkę na ów tuzin, który Kozakiewicz przyrzekł przynieść nazajutrz po odebraniu bagażu z parowca. Oszust nie pokazał się wcale, i zaliczka przepadła. P. Juljan starał się wyśledzić go, ale napróżno...

Wkrótce potem w r. 1889 zawiał do Carogrodu inny komiwojażer, koronowany kolporter przymierza austro-niemieckiego z Turcją—cesarz Wilhelm II, pozujący na wielkiego przyjaciela sultana Abdul - Hamida i protektora mahometanizmu, a to celem utwierdzenia wpływu Niemiec na Wschodzie. Ekonomicznie opanować Turcję Niemcy starały się już dawno. Teraz chodziło o zawładnięcie nią polityczne, według starego hasła „Drang nach Osten”. Wędrowny ptak „Wiluś”, przepędzający lato na chłodnych fjordach Norwegji, a zimujący na wyspie Korfu w willi Achillejon, przybył nad Bosfor w najpiękniejszą porę pogodnej ciepłej jesieni bałkańskiej,

Po otrzymaniu wiadomości o zbliżaniu się jachtu cesarskiego „Hohenzollern”, według etykiety urzędowej, należało na powitanie gościa wysłać parę pancerników tureckich z odpowiednią świtą, dla eskorty honorowej. Był z tem kłopot niemały. Albowiem w porcie wojennym Stambułu na Złotym Rogu stał wprawdzie na kotwicy cały szereg pancerników wylakierowanych i błyszczących, ale narazie wobec nagłej potrzeby żaden nie chciał ruszyć z miejsca. Nawet kotwic ciężkich podnieść nie zdołano, gdyż maszyny były zardzewiałe niezdatne do ruchu. Wprawdzie czyszczono codzień i myto starannie wszystkie owe okręty wojenne, lecz tylko powierzchownie zewnętrznie dla oka, aby się świeciły. Pieniądze przeznaczone na remont wewnętrzny, kradło tureckie ministerstwo marynarki.

Wobec tego na powitanie cesarza Niemiec wysłano dnia 31 października, o godzinie 5-ej wieczorem, osobisty jacht sultański „Izeddin”. Na nim świtę powitalną, do której należeli: Edem-pasza dawny wielki wewz, Salim-pasza minister spraw za-

granicznych, Tewfik-pasza ambasador turecki w Berlinie, Ibrahim-bey mistrz ceremonji przy Wysokiej Porcie i inni.

Cesarz niemiecki z cesarzową wyruszył w drogę z Pireusu do Konstantynopola takż 31 października we czwartek na swoim wielkim jachcie „Hohenzollern“. Spotkanie jachtów nastąpiło w Dardanelach w Beszikler o godz. 3 rano w piątek 1 listopada. Do Konstantynopola cesarstwo niemieckie przybyło 2 listopada przed południem, wylądowali w nadmorskim pałacu Dolma-Bagcze, powitani przez sultana Abdul-Hamida. Następnie udali się w karetach dworskich do Ildiz-Kiosku, gdzie na ich rezydencję przygotowano osobny pałacyk. Po oddaniu wizyty sultanowi nastąpił przegląd wojsk, a wieczorem bankiet na część gości. W niedzielę 3 listopada udali się cesarstwo niemieckie na nabożeństwo do kaplicy protestanckiej przy ulicy Asmali-Czesme na Pera. Następnie na urzędowe przyjęcie przedstawicieli kolonji niemieckiej do Ambasady, gdzie spożyto śniadanie wydane przez ambasadora i wyruszono na wycieczkę na Morze czarne. W poniedziałek po zwiedzeniu stolicy, odbył się bankiet pożegnalny w pałacu sultana, a we wtorek 5 listopada odjazd. Ulice, przez które przejeżdżali cesarstwo niemieckie, były wysypane grubo piaskiem mokrym dla wyrównania wybojów. Stare domostwa obok pomalowano naprędce na żółto wapnem z gliną, przyczem tu i owdzie zagwazdano piękne płaskorzeźby i arabeski na starożytnych fontannach z marmuru. Miasto było na rozkaz policji udekorowane flagami, a Niemcy^{niemieccy} chodził jak pawie. Naturalnie cała policja turecka była zmobilizowana, a szpiegi niemieckie nadstawiali wszędzie uszu gorliwie. Dowiedziałem się później, że parę razy torbę bryftregerów Poczty ruskiej i Poczty austriackiej jeden znany mi szpieg niemiecko-turecki przeglądał niby dla siebie w pobliżu naszego magazynu, aby się dowiedzieć, jakie gazety słowiańskie odbieram. Mówił mi o tem znajomy bryftreger ruski i sam raz to spostrzegłem przez okno.

Podczas kilkodniowego pobytu kajzera paradom wojskowym i rewjom nie było końca. Wilhelm II objeżdżał z liczną świtą i sztabem tureckim okolice stolicy i wybrzeża Bosforu od Zachodu i Wschodu studjując pozycje strategiczne obronne. Wyjeżdżał z Carogrodu przekonany, że uzupełnił ostatnie ogniwo potężnego łańcucha żelaznego przymierza Niemiec, Austrii, Bólgarii i Turcji — jakiego nic nie przerwie, i co mu zapewni niepodzielną hegemonję nad Europą. Nie przewidział pyszałek, że w wielkiej wojnie, do której się przygotowywał, jego i sprzymierzeńców jego trony zostaną zdruzgotane, że im pospadają z głów świetne korony, i że jako jeniec w Doorn będzie rąbać drewno dla rozrywki rozmyślając jako „transit gloria mundi“.

Całą ową wizytę niemiecką nad Bosforem cesarza Niemiec, który przyjechał galwanizować resztki trupa chorej Turcji,

opisałem zaraz wspólnie w mojej „Kronice Wschodniej” w warszawskim „Przeglądzie tygodniowym” w obszernej korespondencji (387 wierszy druku) z d. 3 listopada 1889 r., która zyskała ogólne zainteresowanie. Urzędowy „Warszawskij Dniwnik” przedrukował ją zaraz w całości, a za nim inne gazety ruskie i słowiańskie.

Potem w grudniu 1889 wysłałem jeszcze przed powrotem moim do Warszawy ostatnią moją korespondencję z Carogrodu do „Przeglądu tygodniowego” warszawskiego, oraz „List ze Wschodu” do naszego tygodnika „Kraj” w Petersburgu.

Po pogromie Niemiec w wielkiej wojnie europejskiej i po oswobodzeniu Polski z pod zaboru pruskiego w r. 1918 dzienniki nasze wypomniały Wilhelmowi II-mu jego podłą przemowę podczas uczty wydanej w odnowionym krzyżackim zamku w Malborku:

— „Ich rufe euch alle Ritter des Deutschen Ordens zum heiligen Kampfe gegen polnische Freschheit und den sarmatischen Obermuth!”

— Wzywam was wszyscy Rycerze zakonu niemieckiego do świętej walki z polskiem zuchwalstwem i sarmacką butą!...

Tak śnił przemawiać po strasznych prześladowaniach polaków, po katowaniach dzieci w szkołach i po masowych wywłaszczaniach z prastarych siedzib dziedzicznych ten bezczelny arcykrzyżak i butny bandyta koronowany ekscesarz niemiecki, opierający swoją władzę „z bożej łaski” na mieczu, ogniu i krwi.

Zmuszony w akcie z d. 5 listopada 1918 do proklamowania niepodległości Polski, tak znieawidzonej przez niego, a potem do ustąpienia z plugawego tronu legł powalony w prochu swej pychy.

Powstało wolne Państwo Polskie, niemcy rozpędzeni haniebnie. Złączone z Ojczyzną odrodzoną nasze dzielnice wielkopolskie Poznańskie i Śląsk, których zniemczenie było celem stuletniej polityki pruskiej. Trzej konfratry „Świętego przymierza” zaborcy Polski: car moskiewski Mikołaj II, austriacki imperator Karol i kajzer niemiecki Wilhelm II sromotnie przepędzeni, a państwa ich tyrańskie poszarpane w strzępy!

Rękopis mojej historii powszechnej dziennikarstwa wykończyłem już cały i w czasie wolnym od zajęć przepisywałem na czysto, aby mieć drugi egzemplarz dla przesłania drukarni.

Jesień nad Bosforem tak jak corocznie była pogodna i ciepła. Cały grudzień 1889 r. prawie gorący, podobnie jak u nas w Polsce bywa czasem październik, podczas „babiego lata”. To też co niedziela jak zwykle robiłem razem z Ma wy-cieczki bliższe lub dalsze po mieście i okolicach, a w dniu powszednie wieczorem do Ogrodu miejskiego na koncerty orkiestry teatralnej.

Okna frontowe południowe naszego magazynu od strony Placu Tunelu błyszcząły świetnymi okazami srebrzystych kandelabrow, wiszących lamp, samowarów giloszowanych, wielkich tac i mnóstwa mniejszych naczyń stołowych świeżo przysłanych nam z Warszawy.

W końcu grudnia przed świętami wójt gminy Adampola p. Ludwik Biskupski, dowiedziawszy się, że wkrótce mam powrócić do Polski, odwiedził mię dla złożenia życzeń świątecznych i pożegnania. Oddał mi przytem list od kolonistów adampolskich, który tu jako wielce mi cenny i miły przytaczam w całości:

„Wielmożny Panie Dobrodzieju! Po tak długim z naszej strony milczeniu, nie możemy lepiej zacząć niniejszego listu jak przesłaniem W. P. Dobrodziejowi najszczerzych życzeń wszelkich pomyślności na nowem stanowisku, zapewniając Go o wysokim szacunku całej naszej kolonji i serdecznem przywiązaniu. Są to najpierwsze i najświętsze obowiązki, z których pośpieszamy się wywiązać. I będzie to dla nas największą radością, jeżeli W. P. Dobrodziej życzenia te łaskawie przyjąć raczy.

„Wszak doznaliśmy od Łaskawego Pana dobrodzieja tyle względów, dobroci i szlachetnej protekcji przed dobrymi ludźmi, iż nie jesteśmy w stanie wywdziękzyć się za wszystkie Jego łaski i dobrodziejstwa. Ażeby zaś przekonać W. P. Dobrodzieja jak wysoko sobie cenimy Jego serce, ośmielamy się najpokorniej prosić, by nas i nadal w swej pamięci zachować raczył, czego usilnie pragniemy. W. P. Dobrodzieja najniżsi i wierni słudzy — Ludwik Biskupski, wójt Adampola“.

Wujostwo Jordanowie z córką Jańcią już dawniej wyjechali do Krakowa, aby zająć się tam swojemi sprawami majątkowemi w Galicji. Domy swoje na przedmieściu Ferikje zostawili pod zarządem i opieką najstarszego syna Eugenjusza.

Przed nowym rokiem 1890 napisałem do Ojca i brata mego Mieczysława w Miechowie obszerny list z życzeniami świątecznymi i zawiadomieniem, że już wkrótce powrócę do kraju, gdyż uprosiłem Zarząd fabryki i naszego szefa p. Frageta, aby przysłano mego następcę dla dalszego prowadzenia magazynu w Konstantynopolu.

Jak zwykle wysłałem też do Zarządu fabryki sprawozdanie i bilans magazynu naszego za miesiąc grudzień 1889 r.

Dn. 4 stycznia 1890 r. w sobotę przed południem wszedł zwolna do naszego magazynu pan wysokiego wzrostu ubrany elegancko, podszedł do mego pulpitu, przy którym stałem nad księgą kasową, i powitał mię uprzejmie, podając mi rękę. Był to szef nasz pan Juljan Fraget przybyły niespodziewanie z Warszawy. Następnie przywitał się z moim pomocnikiem p. Rupem. Ja zawołałem po francusku naszego woźnego, aby podał krzesło naszemu szefowi, i zarazem objaśniłem, że to jest woźny magazynu od początku jego założenia,

armeńczyk Hamparzum Hampargian, poliglota bardzo nam użyteczny, mówiący językami armeńskim, tureckim, nowogreckim i francuskim. P. Fraget pochwalił go uprzejmie, i spoczawszy, zwrócił się do mnie z zapytaniem:

— Więc pan życzy sobie koniecznie powrócić już do kraju?

— Tak jest, odrzekłem, ojciec mój staruszek w podeszłym wieku i brat mój chory sparaliżowany, proszą mię o to usilnie, abym powrócił pomagać im w załatwianiu ważnych spraw domowych, jak to już Szanownemu Panu listownie donosiłem.

— Wobec tego, stosownie do życzenia pańskiego, przysię tutaj następcę z odpowiedzialną plenipotencją p. Sławoczyńskiego, któremu zechce pan zdać cały magazyn i swoje czynności, oraz obznajmić go z niemi. Pan Juljan Rup pozostanie przy nim nadal do pomocy. Przybyłem tu po raz pierwszy po trzech latach odwiedzić mój magazyn tutejszy. Przejeżdżając z Warszawy przez Odese, zwiedziłem również mój tamtejszy magazyn, który znalazłem w należyłym porządku, i gdzie sprawdziłem inwentarz zapasu towarów. Aby dziś przy sobocie nie przerywać zwykłych czynności sprzedaży, poproszę panów jutro w niedzielę przyjść do magazynu o 8-ej godzinie rano dla spisania inwentarza towarów, celem oddania go formalnie nowemu zarządcy p. Sławoczyńskiemu, który wkrótce już tutaj przybędzie.

Pan Fraget pożegnał nas uprzejmie, i wsiał do powozu, którym odjechał do hotelu.

Nazajutrz w niedzielę od godziny 8-ej rano oczekiwaliśmy wszyscy w magazynie na p. Frageta, który niebawem nadjechał. Przywitawszy nas, przejrzał najprzód księgi rachunkowe. Woźny Hamparzum spuścił i zamknął roletę żelazną drzwi wchodowych, a podniósł rolety w oknach magazynu. Zaczęliśmy spisywanie inwentarza zapasów towarów od witryn w oknach i szafach, a następnie zesłiliśmy do sutereny wídnej pod magazynem, dla spisania zapasów towaru w szafach tam umieszczonych. Przy dużym stole pod oknem zasiadł p. Fraget i ja dla spisywania pakietów fabrycznych, które wyjmował z szaf p. Juljan i podawał na stole ilość i wartość towaru. W ten sposób spis inwentarza szedł sprawnie i szybko. Po obliczeniu i podsumowaniu, wszystko znalezione w ścisłym porządku, zgodnie z księgami i ostatnim bilansem za rok 1889. Całą czynność ukończyliśmy popołudniu dość wczesnie, a p. Fraget dziękując nam za tę pracę, polecił mi wypłacić jako gratyfikację całemu personelowi magazynu jednomiesięczną pensję w złocie, co też zaraz uczyniłem.

Żegnając nas, p. Fraget prosił mię abym nazajutrz przed południem towarzyszył mu do wielkiego bazaru Bujuk-Czarszi w Stambule, dla poczynienia zakupów. Jakoż nazajutrz rano w poniedziałek o godzinie 9-ej rano szef nasz zjechał przed nasz dom w powozie otwartym, i zabrał mię ze sobą jako tłumacza i przewodnika dla załatwienia sprawunków. Pogoda była

piękna i ciepła, powóz lando otwarte, pojechaliśmy z wolna przez główny most Złotego Rogu, z którego wokolo roztaczał się wspaniały widok na port Bosforu pełen ożywionego ruchu morskieru, na stary zamek-Eski-Seraju i cały Stambuł z wieżą Seraskieratu i wspaniałemi kopułami ogromnych meczetów. Przebywszy most wstąpiliśmy podrozdzie do gmachu Administracji długu publicznego Turcji wpobliżu pałacu Wysokiej Porty, dla zainkasowania zaległych kuponów od pożyczki skarbowej tureckiej, dla jednego ze znajomych warszawskich p. Frageta. Po załatwieniu tego interesu podjechaliśmy do głównej bramy pobliskiej bazaru Bujuk-Czarszi, przy której miał czekać nasz powóz, a dalej pieszo zagłębiliśmy się w olbrzymi labirynt uliczek bazaru. Wkońcu w pasażu, obejmującym wyroby orjentalne, tkaniny i hafty, po nabyciu różnych drobiazgów, p. Fraget zakupił jeszcze dla swojej córki księżnej Mirskiej prześliczny długi szal z jedwabnej gazy przezroczystej haftowanej białą pelą śnieżystą w misterne kwiaty i arabeski. Po wytargowaniu należytem ceny według miejscowego zwyczaju, kupiec turek zawiązał nam wszystkie sprawunki w jeden pakiet, i zaraz powróciliśmy oczekującym nas powozem tą samą drogą na Pera, gdzie obok naszego magazynu wysiadłem i pożegnałem naszego szefa, życząc mu szczęśliwego powrotu do Warszawy.

Było już blisko południe, więc wkrótce pospieszyłem na obiad do domu, gdzie opowiedziałem Ma zaraz o wszystkim. Cieszyła się bardzo z powrotu do kraju między swoich bliskich, za którymi już zatęskniła. Wieczorami naradzaliśmy się o pakowaniu rzeczy i robiliśmy już do tego przygotowania powoli. Hamparzum przyniósł mi z magazynu kilka dużych pak drewnianych. Ma układała w nich rzeczy najmniej potrzebne do użytku. Najprzód na spód trochę książek cenzuralnych jakie pozostawiłem do swego użytku, jak: słowniki, atlasy geograficzne, podręczniki przyrodnicze i t. p., aby uniknąć trudności rewizji na komorze morskiej w Odessie. Następnie ubrania, zapasy bielizny, niektóre naczynia, drobne sprzęty i t. p. Wkrótce większość rzeczy została upakowana. Pozostała tylko pościel, i naczynia potrzebne do jedzenia do czasu wyjazdu.

Niebawem w połowie stycznia przybył do naszego magazynu z plenipotencją i listem od p. Frageta mój następca p. Sławoczyński, młodzieniec poważny energiczny i bardzo sympatyczny. Oprowadziłem go zaraz po całym magazynie i składach naszych, oddałem mu klucze od wszystkich szaf i szuflad, oraz księgi rachunkowe, i objaśniłem wszystko tak, aby mógł zaraz rozpocząć swoje czynności, przy pomocy p. Juliana i wóznego Hamparzuma, z którymi go zapoznałem. Przez jakiś czas przychodziłem jeszcze codzień do magazynu, aby objaśniać o przerwie obiadowej, o zamykaniu wszystkich szaf i witryn w oknach wieczorem, o składaniu gotówki zbywającej do banku, o ekspedycji na komorze celniej i p. Wóźny Hamparzum

jako niezbędny stróż magazynu w nocy, mieszkał w nim i sypiał stale tak jak dawniej, otwierając co rano rolety żelazne okien i drzwi wchodowych a zamykając je na noc od wewnątrz na śruby. Zapoznałem też p. Sławoczyńskiego z gospodarzem domu p. Albertem dyrektorem kolei Tunelu, i z p. Neumanem kasjerem tejże kolei, który ułatwiał nam czynności celne na kormorze Mum-Hane.

P. Sławoczyński przyjechał do Konstantynopola ze swoją matką i ciotką czyli jej siostrą, zamieszkał z nimi tymczasowo w Hotelu peszteńskim, przy Wielkiej ulicy Pery, na parterze w dwóch pokojach i tam się z nimi stołował w miejscowej restauracji. Był jedynakiem bardzo ukochanym przez matkę i ta pragnęła być przy nim, by się nim opiekować na dalekiej obczyźnie. Jako niemłoda już kobieta, słabego zdrowia i strudzona podróżą morską, bez wygody domowej, do której przywykła, cierpiała jeszcze bardziej, nie mogąc znieść obcej kuchni i niezdrowych potraw tutejszych. Kłopot z tem był niemały, i ostatecznie syn uprosił ją, aby ze względu na zdrowie wróciła do kraju pod moją opieką.

Przed wyjazdem zapoznałem też p. Sławoczyńskiego z dawnym prezesem Polskiego Towarzystwa dobroczynności, którego sprawozdanie za rok ubiegły 1889 świeżo otrzymałem. P. Michałowski usunął się od dalszego kierownictwa; na jego miejsce został wybrany do nowego Zarządu na prezesa p. S. Morawski stary emigrant, a na wiceprezesa p. F. Radomski, kierownik magazynu galanteryjnego Kuna przy Wielkiej ulicy Pery. Z p. Radomskim zapoznał się później p. Sławoczyński, a jako wytrawnego handlowca, znającego zdawna stosunki miejscowe, oraz języki francuski, turecki i nowogrecki biegle, przedstawił go na swego pomocnika p. Fragetowi, na co uzyskał zgodę swego szefa. Wobec tego p. Julian Rup, dawny pomocnik, został usunięty i w maju 1891 r. powrócił do Warszawy.

W końcu stycznia 1890 r., wychodząc wieczorem z naszego magazynu, zaprosiłem p. Sławoczyńskiego do siebie na herbatę, aby obejrzał moje mieszkanie, i wrazie życzenia wynajął je dla siebie. P. Sławoczyński odchodząc prosił Ma, aby w podróży powrotnej do kraju zaopiekowała się jego matką, która jako słaba nie wychodzi na miasto. Prosił też, abyśmy ją odwiedzili w hotelu, co nazajutrz uczyniliśmy, dla zapoznania się wzajemnego.

Pakowaniem reszty rzeczy do skrzyń zająłem się pośpiesznie. Po ukończeniu tego przybiłem starannie wieka, obciągnąłem taśmami żelaznymi dla ochrony od rozbicia, wreszcie, wypisałem grube sygna czyli znaki swoje S. C. i ponumerowałem.

Paszporty nasze zawizowałem w miejscowym Konsulacie generalnym d. 4 lutego 1890 r. na wyjazd do Warszawy, w parę dni potem kupiłem dwa bilety pasażerskie II klasy na parowiec Ruskiego Towarzystwa żeglugi „Admirał Czichaczew“, sto-

Jacy już w porcie na kotwicy w drodze do Odessy. Wprzodzień wyjazdu sprzedałem handlarzowi meble i sprzęty niepotrzebne, z wyjątkiem piecyka, który pozostawiłem na miejscu dla Gospodarza domu. Potem zaraz udałem się na Galatę z wykazem numerów pak i adresem, do biura Agencji żeglugi, która dała mi swego urzędnika i wozy dla odwiezienia ich i załadowania na parowiec. Jednocześnie skrzynie z rzeczami matki p. Sławoczyńskiego i jej siostry, nieodebrane jeszcze ze składów Agencji żeglugi po przyjeździe, zostały również naładowane.

Do użytku podręcznego w podróży zapakowaliśmy w dwa małe kuferki trochę bielizny, drobiazgi najpotrzebniejsze i mój rękopis Historji dziennikarstwa obwiązany mocnym szpagatem. Rano w dniu wyjazdu dwa sienniki opróżnione z siana, złożone starannie przywiązaliśmy do kuferków paskami rzemiennymi. Po wypiciu na śniadanie mleka z bułkami, poszedłem po fiakra z karetą oszkloną, i kazałem mu zaczekać przed domem. Stróż i stróżka poszli ze mną do mieszkania dla zniesienia kuferków. Zamknąłem drzwi na klucz i oddałem go gospodarzowi domu na dole. Pożegnawszy się z nim, zapłaciłem stróżowi za posługę, podałem rękę Ma i wsiedliśmy do powozu, mając kuferki przed sobą w nogach.

Kazałem fiakrowi jechać wprost do przystani Agencji żeglugi ruskiej. Tam, po przedstawieniu w biurze naszych biletów pasażerskich i odebraniu kuponów frachtowych na wysyłkę pak naszych do Warszawy na dworzec brzeski, udaliśmy się zaraz na pokład parowca „Czichaczew“, stojącego przy bulwarze ambarkaderu przystani.

Na pokładzie zastaliśmy już p. Sławoczyńskiego, który poprowadził nas do osobnej kabiny damskiej, zajętej wyłącznie dla jego matki i ciotki. Po skontrolowaniu biletów przez gospodarza klasy II-ej i przywitania się z paniami. Ma złożony swój kuferek zajęła miejsce w kabinie. Ja zaś dostałem miejsce po drugiej stronie parowca, w kabinie męskiej, gdzie zająłem łóżko dolne, umieściłem mój kufer z rękopisem w szafce i zamknąłem ją na klucz. Wkrótce przybyła reszta pasażerów opóźniających się, i ulokowała się w kabinach sąsiednich.

P. Sławoczyński pożegnał się i zeszedł na bulwar przystani. Panie wyszły na pokład górny przesyłając chusteczkami ostatnie pożegnania, i zasiadły ze mną na ławce, gdyż była piękna pogoda słoneczna. Podniesiono kotwicę, kapitan dał rozkaz wyjazdu. Powoli parowiec nasz skierował się ukosem ku brzegowi azjatyckiemu Bosforu i całą siłą pary przeciw bystremu prądowi wód posuwał się naprzód z wolna. Mineliśmy wspaniałe pałace sułtańskie: Dolma-Bagcze jaśniejący białością marmurowych ścian, Cziragan ciemny, ponury, więzienie Murada V brata sułtana, wreszcie park i świetną rezydencję Abdul-Hamida Ildiz-Kiosk. W oddali za nami, niknął powoli Eski-Seraj stary zamek Stambułu. Przed nami rozwijała się panorama czarowna zawsze

panorama wybrzeży Bosforu, ich barwne przystanie pełne ruchu i życia, jasne wille i pałace wśród wiecznie zielonych cyprysów. Za Arnautkiej parowiec nasz przeforsował najgwałtowniejszy prąd wód koło Djablego przylądka Szejtan - Burnu, w najwęższym miejscu cieśniny. Koło Kandili gdzie prąd wód najsilniej bije na brzeg azjatycki - mineliśmy powoli wyniosłe wieżyce ruin twierdzy Rumili-Hisar i cmentarzyk nadbrzeżny z marnymi prochami pierwszych zdobywców tureckich skrawka brzegu europejskiego. Dalej prąd wód coraz słabszy pozwala parowcowi posuwać się raźniej. Przepływamy szeroką zatokę Bujuk-Dere i mijamy piękny park i pałac letni Ambasady ruskiej. Za białymi latarniami Rumili-Fener i Anadoli-Fener wypływamy nareszcie na pełne Morze Czarne. Fale spokojne, powietrze ciche. Już południe. Dzwonek wzywa podróżnych do sal jadalnych na drugie śniadanie. Wszyscy schodzą się. Panie zasiadają po jednej stronie długiego stołu obok siebie, ja naprzeciwko nich po drugiej. Zakąski i potrawy obfite, wina i napoi dowoli. Po czarnej kawie zasiadamy na sofach dla przejrzania ostatnich gazet z Odessy zakupionych przed wyjazdem w przystani. Powietrze chłodne więc na pokład wychodziliśmy mało tylko dla przechadzki i ruchu. Po nocy spokojnej następnego dnia przed wieczorem zbliżyliśmy się do Odessy. Panorama miasta na wyniosłym brzegu wspaniała.

Przed przybyciem do portu wyjąłem z kuferka mój rękopis Historji dziennikarstwa obwiązany starannie mocnym szpagatem oraz długi kawał miękkiego sznura, i oddałem Ma skrycie tak, aby nikt nie widział; prosiłem żeby ukryła pakiet pod suknią niewidocznie, i uwiązała go mocno, przewieszając sznur przez ramiona. Chodziło bowiem o to, aby przy rewizji na komorze celnej nie zabrano rękopisu i nie odesłano do cenzury w Warszawie, gdzie napewno zostałby skonfiskowany i cała moja praca poszłaby na marne.

Po przybiciu naszego parowca do bulwaru przystani, wszedł do sali naszej klasy urzędnik policji z pomocnikiem dla kontroli i wizy pasportów przy stole. Po przyłożeniu pieczęci z datą oddano nam pasporty. Zeszliśmy wszyscy na bulwar do sali rewizji, gdzie tymczasem wylądowano już nasze paki. Po przedstawieniu kuponów frachtowych Agencji żeglugi ruskiej, otwierano kolejno wszystkie skrzynie moje, ale widząc używane ubrania i stare rzeczy domowe nie dobierano się głęboko. Nakryto wieka i przybito mocno. Natomiast pani Sławoczyńska miała trochę kłopotu z rewizją swoich pak, gdyż było w nich na wierzchu kilka sztuk nowego płótna grubego domowej roboty, a w nich obwinęte talerze i różne naczynia szklane. Rewident po otwarciu pak, zobaczywszy nowe płótno, chwycił je za brzeg i wyciągnął nagle tak, że dużo talerzy i szklanek wypadło na podłogę i potłukło się na drobne kawałki. Resztę pak rewidowano powoli i w końcu po opłacie cła dla wysłania

dalej koleją żelazną do miejsca przeznaczenia według adresu.

Po ukończeniu rewizji i okazaniu przy wyjściu pasportów żandarmom, kazałem posługaczowi zawołać fiakra z powozem dwukonnym i panie z bagażem podręcznym usadowilem wygodnie; ruszyliśmy szpako do polskiego hotelu „Wiktoria” na Chersońskiej ulicy.

W długiej kamienicy piętrowej w kantorze hotelu przyjęła nas sama właścicielka, pani K., osoba młoda bardzo piękna i elegancka. Zapisala nas do księgi podróżnych i kazała nam dać dwa pokoje obok siebie na I piętrze od podwórca według naszego życzenia, jako wolne od turkotu ulicznego i ciche w nocy. Z okien dużych słonecznych od południa widać tam było rozległy podwórzec, cały wyasfaltowany, czystutki. Za nim sztachety i wielki ogród z budynkiem letniego Teatru polskiego, gdzie przyjezdne towarzystwa dramatyczne dawały przedstawienia i grywała orkiestra podczas obiadów i kolacji.

Po zajęciu naszego pokoju Ma zaraz rozebrała się, aby zdjąć z siebie ukryty pod suknią mój rękopis Historji dziennikarstwa, przewieziony szczęśliwie. Uradowany chwycilem go oburącz, przycisnąłem do czoła i do serca. Gdy Ma zdjęła tymczasem obuwie, ukląknem przed nią, ucałowałem jej małe liljowobiałe stopy i przytulilem cicho głowę do jej kolan. Podniosła mię i ucałowała w czoło, mówiąc:

— A gdyby nam byli zabrali rękopis na komorze, to przecież miałeś w głowie tę całą historję.

— Tak, odrzekłem. Ale drugi raz pisać to obszerne dzieło byłoby mi prawie niepodobna. Ty uratowałaś mi je od szponów cenzury moskiewskiej, i za to Ci jestem serdecznie wdzięczny!

Po krótkim wypoczynku, zeszliśmy na parter do sali jadalnej restauracji miejscowej. Pani Sławoczyńska z siostrą, które tam już zastaliśmy, odzyskała dobry humor i odżyła, mając do wyboru potrawy polskie tak jak u siebie w domu. Usługa też cała była tam polska, kelnerzy i numerowe. Po lekkiej kolacji wróciliśmy do swoich pokoi, na spoczynek po długiej nurzącej podróży morskiej.

Nazajutrz rano zaraz po śniadaniu panie poszły razem do kościoła, a ja przedewszystkiem do redakcji „Odesskiego Wiestnika”, dla przejrzenia najświeższych gazet warszawskich. Potem wstąpiłem po panie. Na dużym placu targowym w pobliżu kościoła wieśniaczki z okolic Odesy, siedząc na ziemi, sprzedawały ułożone na płachtach różne wyroby domowe i nabiał. Panią Sławoczyńską zainteresowały ich wyroby płócienne, więc oglądała je dokładnie i rozpytywała się o ceny. Wracając do hotelu koło wielkiego składu pieczywa przeróżnego nakupiliśmy na dalszą drogę świeżych bułek i obwarzanków z makiem, a dalej w składzie wędlin trochę szynki i pasztetu.

Po obiedzie w restauracji „Wiktorji” zapakowaliśmy nasze wiktuały do kuferków, i zapłaciwszy rachunki, karetą hotelu wyruszyliśmy na dworzec kolei. Portjer zakupił nam bilety na pociąg warszawski do klasy IIIszej według życzenia p. Sławoczyńskiej gwoli oszczędności. Usadowiliśmy się zaraz wygodnie w dużym wysokim wagonie dla niepalących. Pociąg wkrótce wyruszył w drogę.

Na drugi dzień rano przybyliśmy do Brześcia nad Bugiem, gdzie p. Sławoczyńska z siostrą wysiadły, aby udać się dalej na wieś do swego brata, u którego stale zamieszkiwały. Ja z Ma, po śniadaniu mięsnem, wróciliśmy do naszego pociągu warszawskiego, który przybył na Pragę wieczorem na dworzec brzeski. Dorożką dojechaliliśmy do „Hotelu wiedeńskiego” przy ulicy Widok, skąd było blisko na ulicę Nowogrodzką do siostry Ma, gdzie poszliśmy niezwłocznie.



Wydawnictwo
„Pamiętników S. J. Czarnowskiego”
w Kielcach, ulica Hipoteczna 30.

Wyszły z druku:

Tom I Pamiętników, obejmujący zeszyty 1—6 . . .	zł. 1.50
Tom II Pamiętników, obejmujący zeszyty 7—12 . . .	zł. 1.50
Tom III Pamiętników, obejmujący zeszyty 13—18 . . .	zł. 3.00
Tom IV Pamiętników, obejmujący zeszyty 19—24 . . .	zł. 3.00
<i>Zeszyt 19.</i> Z Warszawy do Konstantynopola (1866 r.) . . .	gr. 30
<i>Zeszyt 20.</i> Konstantynopol i jego życie (1886—1887) . . .	gr. 30
<i>Zeszyt 21.</i> Konstantynopol. Wycieczki po mieście i okolicach (r. 1887)	gr. 30
<i>Zeszyt 22.</i> Konstantynopol i wybrzeża Bosforu	gr. 30
<i>Zeszyt 23.</i> Sztambuł i morze Marmara (1887 r.)	gr. 60
<i>Zeszyt 24.</i> Polacy na Wschodzie. Handel dziewczętami.	gr. 60